





Буклет драматический.

541
793
BUKIET DRAMATYCZNY.

—♦♦♦♦—
ZBIÓR

scen, monologów, dyalogów, fragmentów, monodramów
humorystycznych i dramatycznych

oraz

poezyj i wierszy do deklamacyi

dla użytku

kierowników scen, artystów dramatycznych,
recytatorów i amatorów deklamacyi

zebrał i ułożył

Karol Hoffman

przy pomocy *Józefa Głódowskiego.*

—
RADOM,
w Drukarni i Litografii J. K. Trzebińskiego.

1889.



MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Radom Reg.

P. 1979 P. 32547

Дозволено Пензурою. — Варшава, 17 Ноябрь 1888 г.

P. 28095

737

8252

Reg.

821.162.1-82

PRZEDMOWA.

„Bukietem dramatycznym“ — podług ogólnie przyjętego wyrażenia, specyjalnie teatralnego — nazywa się widowisko, złożone z wszelkiego rodzaju produkcji artystyczno-dramatycznych: więc z wrywków z dramatów lub tragedyj, komedyj, operetek i t. d.

Ziąd też i tytuł niniejszego dziełka. Celem obecnego wydawnictwa było zebranie w jedną całość rozrzuconych tu i owdzie bądź celniejszych, bądź też nieznanych monodramów, monologów, scen, fragmentów, deklamacyj, i t. p., odpowiednich do publicznego wypowiedzenia ze sceny, estrady, lub w salonie na zebraniach towarzyskich. W ten sposób kierownik sceny znajdzie, bez trudu wyszukiwania, wybór numerów programu do ułożenia t. zw. „quodlibetu“, — artyści lub recytatorzy — zasób monologów różnego zakresu i treści do publicznych popisów z estrady, wreszcie amatorowie i amatorki deklamacji, zbiór wierszy i poezyj, wybranych do wypowiedzenia na zebraniach towarzyskich w salonie.

Przy wyborze prac pomieszczonych w dziełku, zwracano przede wszystkim uwagę na to, aby to były rzeczy mało lub wcale nieznane i niepublikowane w zbiorowych wydawnictwach podobnego rodzaju. Ziąd więc, tak poezye wieszczów naszych, pomieszczane w zbiorowych wydawnictwach ich pism, jak i utwory współczesnych poetów,

przedrukowywane ciągle w antologiach, „Lirze polskiej“ i t. p., jakkolwiek wiele z nich nadaje się do deklamacji, nie znalazły tu miejsca. Z drugiej znów strony, ze względu na nietykalność praw autorskich, nie śmiałem podawać w tym zbiorku monologów autorów współczesnych, którzy zastrzegli swą własność, a którym pomieszczenie tutaj ich prac mogłoby przynieść straty materialne, wskutek rozsprzedawania w mniejszej ilości dzieł, zawierających przedrukowane utwory.

Rzecz prosta, że nie stosuje się to do wyjątków z utworów dramatycznych, które na zasadzie praw prasowych, podaje podług wyboru, w rozmiarze przez też prawa oznaczonym. I tu jednak, podając rzeczy zarówno oryginalne jak i tłómaczone, zaznaczam wszędzie źródło, z kąd czerpałem, rzecz przedrukowaną. Przeważną zaś część poezji oryginalnych podaje tu, po porozumieniu się i za łaskawem zezwoleniem, szanownych Autorów.*)

Powodzenie dziełka będzie stanowić o puszczeniu w obieg następnych tomów podobnych deklamacji, scen i wyjątków.

„Bukiet dramatyczny“ nabywać można we wszystkich księgarniach krajowych.

K. H.

*) Między innymi, ś. p. Władysław Sabowski otaczał szczególną pamięcią i opieką nasze wydawnictwo, od pierwszej chwili jego zapowiedzenia. Niestety! los nie pozwolił Mu ujrzeć ziszczenia naszych zamiarów.

WŁASNEJ SIŁE.

Wyjątek z komedji, oryginalnie wierszem napisanej

przez Adolfa Świącieckiego.

Osoby:

WANDA.

HENRYK.

Rzecz w Warszawie.

WANDA i HENRYK.

WANDA.

Co? Henryk? to sen chyba!..

HENRYK (okrywając jej ręce
pocałunkami).

Wando!

WANDA.

Mój jedyny!..

Ty u nas?

HENRYK.

Wprost z wagonu.

WANDA.

Z radości drzę cała,
Nigdy twój obecności bardziej nie żądała!

(przypominając sobie słowa Brygidy:)

Więc to plotki, wszak prawda, baśnie, gadaniny?
Siadźże tu, mów a przedzej, wszystko, mój jedyny!
(siada).

HENRYK (*siadając.*)

O jakich mówisz plotkach?

WANDA (*jakby wstydząc się słów
swoich.*)

E, to żart — nie więcej.

Ach, opowiedz pan dzieje tych kilku miesięcy
Uteśknienia....

HENRYK.

Czy za mną?

WANDA.

I pytasz pan o to?

HENRYK.

O, dzięki za te słowa!

WANDA.

Więc mów pan.

HENRYK.

Z ochotą.

WANDA.

Ale najprzód opowiedz pan, jak to się stało,
Żeś przyjechał. Zagadką to dla mnie nie małą,
Boś pisał, że cię jeszcze podróż na wschód czeka,
Żeś miał dotrzeć do pierwszej kolebki człowieka
I w krainach, gdzie ryczą lwy i palma kwitnie,
Swe studia orjentalne wzbogacać zaszczytnie.

HENRYK (*patrząc w ziemię*).

Tak, Wando, lecz pierwotne zmieniłem zamiary,
Bo już dziś nie sądzono mi pić z dawnej czary.

WANDA.

A to czemu?...

HENRYK.

Trud wielki, straszny... i nad siły.

A korzystać....

WANDA (*smutno*).

Więc się twoje plany odmieniły?

HENRYK.

Przejrzałem.

WANDA.

I tak prędko?

HENRYK.

Lepiej, że dość wcześnie.

WANDA.

Ależ twoja wytrwałość?

HENRYK.

Złamana boleśnie.

WANDA.

Henryku, ja tym słowem uwierzyć nie mogę.
Przed tygodniem kreśliłeś celów swoich drogę
W tym liście, który jeszcze tu na sercu noszę.
Możesz chory? zgnębiony?

HENRYK.

Wszystkiego potroszę.

Czy mój powrót cię martwi?

WANDA.

Ach! duszę mą rani!

HENRYK (*z goryczą*).

To szczerść! Więc jam gość już niemiły dla pani?

WANDA.

Broń Boże! tylko serce, ach! szepece mi o tem,

Ze się coś tajemnego wiąże z twym powrotem,
Powiedz prawdę, zaklinam cię na przyszłość naszą!

HENRYK

I owszem, skoro płonne obawy cię straszą.
Kiedy zamiar wyjazdu zrodził się w mej głowie,
Toć, wówczas, myśmy, droga, nie byli po słowie,
O! jam się wzajemności nie domyślał jeszcze!
Lecz, gdy słodkie twych wyznań przejęły mnie dreszcze,
Gdy słowo: „kocham“ troskę rozwiało ponurą,
Już wtedy myśl wyjazdu była mi torturą.
Złamawszy gorączkowo tę boleść tajemną,
Wyjechałem; niestety — i „kocham“ wraz ze mną.
Grób mi odtąd przezierał z wnętrza każdej księgi.
Myśl, karlejąc, traciła szersze widnokregi
W tych więzach, co stanowią śmierć już za żywota.

WANDA.

Jakież miano tych więzów, Henryku?

HENRYK.

Tęsknota!

Zamiast marnieć, tą jedną gorączką trawiony,
Wolałem na ojczyście powrócić zagony.
I oto jam przy tobie — nic nas nie rozdzieli.

(bierze jej rękę).

Będziem odtąd żyć razem... spokojni, weseli...
Skróćimy termin ślubu naszego daleki,
Jeszcze miesiąc, — a moją zostaniesz na wieki!

(Widząc łzy w oczach Wandy.)

Łzy w oczach twoich, Wando i boleść na twarzy?

WANDA *(ze łzami w głosie.)*

Henryku! tyś z ofiarą przyszedł dla nędzarzy!

HENRYK.

Nie rozumiem.

WANDA.

Dość! kłamstwo nie przyda się na nic.
O! ty mój obludniku szlachetny bez granic!...
Ha! wyznaj... napisano ci o naszej biedzie,
Pan Henryk list odebrał i do Wandy jedzie,
Grzebiąc z zalem cel wzniosły, który miał przed sobą,
Przyjechał, by się naszą podzielić żałobą.

(z ekstazą:)

Jeśli prawda, jak głoszą Prowansalów dzieje,
Że miłość albo kona, albo potężnieje,
To dziś wulkan mam w każdej uczucia iskerce.
Wyzwałeś mnie, Henryku, w szczytny bój na serce.
A więc, stając do walki z bronią równej miary,
Pocisk ofiar twych — tarczą odbijam ofiary.

HENRYK.

Nic się twego, najmilsza, wzroku nie ustrzeże:
Odgadłaś — to i lepiej, pomówimy szczerze.
Wiem wszystko i dla tego jestem obok ciebie,
Stało się zadość serca mojego potrzebie,
Lecz ofiar nie upatruj, Wando, w mym powrocie.
Przyjeżdżam, bo nie mogłem oprzeć się...

WANDA *(podchwytując z bolesną ironią:)*

Tęsknocie?

HENRYK.

Obowiązkom najświętszym, jakie los nam daje.
Mógłżebym sam dalekie zamieszkiwać kraje
I spokojny swym studjom poświęcać się jeszcze,
Gdyby mi pierś przeczucia targały złowieszcze,

Żem cię zabił, skazując na walk srogich życie.
A dziś los mnie, przysięgam, nagradza sowicie,
Zbliżając w taki sposób chwilę upragnioną.

WANDA.

A przyszłość?...

HENRYK.

Tyś jej treścią, szczęściem i koroną.

WANDA.

Nie! z męczeństwem graniczy ta ofiara łzawa;
Korzyć się przed nią — muszę; przyjąć — nie mam prawa.
Od tego egoizmu niech mnie Bóg uchwali!

HENRYK.

Ale cóż ja poświęcam?

WANDA.

Niech mówią twe słowa.

(wyjawszy list z za gorsu, czyta:)

„Orjentalnych prac niwa pustką u nas leży.
Tej katedry brak dotąd — z krzywdą dla młodzieży;
By szkołę orjentalną tam u nas wytworzyć,
Tonę w pracy. Ach! gdyby owoców jej dożyć!
Muszę wytrwać do końca w przedsięwzięciu swoim.
Już lat dziesięć te studia zdobywam przebojem.
Niedługo! Tu korzystam, lecz już nie tak wiele.
Na Wschodzie kres mych studjów! Kto ma takie cele,
Musi wiedzę jak napój czerpać wprost z krynicy.“

*(po chwili, patrząc na Henryka, silnie pogrzebionego
na twarzy:)*

O! cześć wam, wy szlachetni ducha zapaśnicy!

HENRYK.

Nie nie tracę, o! wierz mi!

WANDA.

Nie, Henryku drogi!...

Ja mam tobie, najmilszy, być kulą u nogi
I wstrętnym egoizmem orle łamać skrzydła?!...
Nie, nigdy!.. Ach, ja sama-bym sobie obrzydła,
Druzgocząc przyszłość twoją rękami własnymi;
Zwichnąć cele takiego syna biednej ziemi,
To zbrodnia!...

HENRYK.

Toż ja będę pracował przy tobie.

WANDA.

Będziesz płakał, zbolały, na pragnień swych grobie,
Że wydarłam ci z życia czas nieodzyskany.

(po chwili z rezygnacją:)

A więc między Indyjskie pospieszaj kapłany,
Żeby wrócić z nimbem tryumfu u czoła,
Na szczytne stanowisko wiedzy apostoła.

HENRYK.

Ależ, Wando, przez Boga, porzuć te skrupuły!
Mogęż jechać? Ach! mnie-by tam życie zatruił
Obawy, że nie wytrwasz tak bez bratniej tarczy;
Że do pracy mozolnej sił tobie nie starczy.
Czyż utrzymać rodzinę sama jesteś w stanie?

WANDA *(z gorącością:)*

Więc na marne iść musi moje wychowanie?
Więc teorie twoje tylko czczym wyrazem były?
Kobieta liczyć nie ma nic na własne siły,
Lecz bezsilna, jak powój, tulić się przy dębie?

HENRYK.

Bynajmniej — sceptycyzmem twej wiary nie ziębię;
Ależ siły na czarną zachowaj godzinę.

WANDA (z siłą:)

Dzięki tobie, mój mistrzu, da Pan Bóg — nie zginę!

HENRYK (rozpromieniony:)

Nie zginie — kto ma wolę, jak ty — opokową!...
Lecz nie wyjdę ztąd, póki przysięgi twej słowo
Nie uzbroi mnie w pewność, że gdybyś na chwilę
Straciła ufność w skutek walk o własnej sile,
Natychmiast do powrotu zawezwiesz Henryka.

WANDA

Przysięgam!

HENRYK (całując jej rękę:)

O mój skarbie!

Scen: (Słychać za sceną nadzwyczaj rzuwne dźwięki fortepianu, trwające do zapadnięcia kurtyny. Oboje słuchają przez chwilę z widocznym wzruszeniem)

Co to za muzyka?...

(Wanda przerażona silnie, wybuchła tłumionem łkaniem.)

Wandziu moja, co tobie?

WANDA (usiłując zapanować nad wzruszeniem:)

Nic... nic... ukochany,

Zdawało mi się, że jęły nad trumną organy.

HENRYK.

Nie rozumiem.

WANDA.

Marylki to jest hymn grobowy.

Biedne dziecko! Od strasznej z Alfredem rozmowy
Zaniemogła śmiertelnie; dziś już trochę lepiej,
Ale nic jej nie wzrusza, nie bawi, nie krzepi,
A skoro serce bardziej krwawić się zaczyna,
Zrywa się... gorączkowo biegnie do pianina
I gra jakąś melodję łzami przesiąkniętą.

(z przerażeniem:)

Ta muzyka — to straszne dziś dla mnie *memento*!

HENRYK.

Zkąd ta myśl?

WANDA (z głęboką boleścią, pod wpływem dręczącego ją przeczucia:)

Gdyby taki zawód serca... Boże!

Zmysły tracę... dwa lata... i ja kiedyś może
Taką pieśń z mych nadziei zanucę cmentarza!...

HENRYK.

Wando!

WANDA.

Przebac! Ach, dźwięk ten inrozi mnie... przeraża...
Nie dziw się, mój jedyny... twój wyjazd tak bliski...

(tuląc się do niego:)

O! kochaj!... Nie porzucisz mnie dla odaliski?

HENRYK (obejmując kibić Wandy, która zawisnęła na jego ramieniu, mówi z ogniem głębokiego uczucia:)

Gdybym w miljon serc trupich przelewał bez miary
Ogień, twoją w mych piersiach rozpalony siłą,

W milionie serc straszne wzniciłbym pożary
I jeszczeby mi ognia na wieczność starczyło!...
Gdyby cześć, którą tobie ślubuje ma dusza,
Bóg na wszystkie stworzenia rozdzielił dla siebie,
Mógłby pierwszy raz chórom swym obwieścić w niebie,
Że niema w podślonecznych kręgach... ateusza!...
Gdybym Bogu... szatanom... ha! nie wiem już komu—
Miał zwrócić to uczucie, lub głowę dać za nie,
Wolałbym raczej światy pograżyć w otchłanie,
Niż jednego miłości tej zrzec się atomu...
Kocham cię, jak promienne myśli moich słońce,
Jak źródło, z kąd mi święte wytryska natchnienie.
Za serce, cnót anielskich tętnami drgające,
Za uśmiech, łzy i mowę... kocham nieskończenie!...
Jest motłoch, co przed złotem korną chyli głowę,
Są ludzie, w których przemoc wzbudza trwogi dreszcze,
Bezsilnym — grozą trudy życia Syzyfowe,
Marzyciela i widmo przerazi złowieszcze.
Mnie, gdym panem sumienia, świat niczem niestrwoży,
Duszy mej nie przeraził nigdy palec Boży,
Przed tobą drzę jak dziecko... i zginam kolana.
Kocham cię!... Czujesz, droga, bezmiar tego słowa?...
Głosząc je, jam potęgą swą pijany... dumny...
Czuję, że mnie całego nie złożą do trumny,
Iskier ducha nie zamknie bryła granitowa!
Póki ty w moim sercu panujesz wszechwładnie,
Póki z marzeń mnie swoich nie zepchniesz ołtarza,
Życie czarem mnie nęci i śmierć nie przeraża,
Bo gdy skonam, kwiat ducha mego... nie przepadnie.

(*całuje Wandę w czoło.*)

WANDA (*w upojeniu* :)

O, najmiłszy!... (*p.c.*) Ha!... prędzej spiesz się do podróży!
Jeszcze chwilka... nie wytrwam.... serce mi to wróży...

(*gorączkowo* :)

Wyjeżdżaj... dziś... natychmiast... nie trać ani chwili...

HENRYK (*obejmując ją i składając*

na jej czoło pocałunek :)

O święta!...

(*Wychodzi powoli, patrząc z głębokiem współczuciem na skamieniałą z bólesci Wandę.*)

WANDA — *sama* (*po wyjściu Henryka*,

z okrzykiem tajonej rozpacz :)

Już mi wieko nad trumną zabili!...

(*Idąc przez chwilę, poczem, uspokoiwszy się, mówi z ręką na sercu* :)

Że to serce nie pękło dziś jeszcze — jest skałą!...

Czy aby w tych zapasach wytrwa biedne ciało,

Czy słabiuchna lepianka moc gromów wytrzyma?...
Rzecz dziwna, kiedy wielki dzień czynu się zbliża,

Czuję trwogę dziecięcia i siłę olbrzyma!...

Gdzie mam czerpać odwagę?... ha! tam — u stóp krzyża!...
(*Idąc przed krucyfiksem i mówi głosem głębokiej wiary* :)

Stwórcu!... niechaj mi Twoje wyroki pozwolą

Wytrwale z krwawą życia potykać się dolą,

Ukrzepiaj siłą serce słabiuchnej kobiety,

Co przebojem iść musi do pragnień swych mety,

By nędzne dla rodziców wywalczyć dostatki;

Nie karz mnie, że rozkazom nieposłuszna matki,

W uniesieniu, goryczą zatrulałam jej chwile,

Pragnąc z więzów niedoli wyjść — własnej siłą!

(wstając:)

O! teraz kipi we mnie nadzieja wygasła,
Bóg... miłość... trud żelazny — oto moje hasła!...

(wybiega na lewo od widzów.)

Rekwizyta (w razie przedstawienia
tego fragmentu na scenie):

Pianino (za sceną), krucyfiks duży, klęcznik, łóżko posłane
czysto, dywanik, firanki białe, półeczki z książkami, stolik mały
okrągły, stolik większy, serwety na nie, dzwonek.

Cylinder^{*)}

Monolog humorystyczny z francuskiego,
z repertuaru *Coquelin'a*,
tłómaczył Jan Arwin Zieliński.

(Młody człowiek wchodzi na scenę i p. c. mówi:)

Żonaty! Kto przypuści? Kto uwierzy — proszę,
Bym ja (mówiąc nawiasem) pierwszy łobuz w świecie,
Ja, który nad swe własne ognisko przenoszę
Zawsze obce małżeństwa, wróg ślubów — bo przecie
Cztery partje zerwałem przyzwoite wcale —
Słowo honoru daję: przyzwoite były —
Bez powodu — tak sobie, bez żadnego ale —
Ojców coś nie lubiłem, mamy mnie nudziły
I ja dziś — ja, którego wszystkie panny znają,
Ojcowie zowią djabłem, mamy wyśmiewają, —
Ja żonaty!...

Spytacie: zkąd i jaka siła
Nagle mną zawładnęła i tak odmieniła,
Że na dołą małżonka mieniam dołą złotą?
Jaki powód? zgadnijcie...

Cylinder! Tak — oto
Podobniuteńki temu — ni duży, ni mały,
Wcale zgrabny — z kaszmiru ronda... jednym słowem
Tak, jaki zwykł nosić dziś prawie świat cały —
Cylinder...

^{*)} Nieco skrócony, dla ożywienia toku całości. (K. II.)

Co? Cylinder?! ależ...

Zaraz powiem.

Zeszłego karnawału, pewna bardzo miła
Rodzina mnie do swego domu zaprosiła
Na wieczorek. Dom zacny (pyszne tam kolacje!)
Lecz, do modnych zwyczajów strojąc się — niestety!
W miejsce tańca — zwykle śpiew albo deklamacje
Dobrze znudzonym gościom podają na wety.
Wchodzę więc z rezygnacją: pochylona głowa,
Kłaniam się, mój cylinder na stoliczku składam,
Witam się z panią domu. Wszczyna się rozmowa...
Dziesiąta punkt — kolacya — bardzo dobrze! siadam;
Los mi sprzyja przy stole jak nikomu w świecie —
Sadza między dwóch starców — ci jak skamieniali
Milczą, — a ja zajadam... Mówcie tam, co chcecie,
Kolacya to grunt rzeczy. Nagle szmer... powstałi
Dwaj starcy i ja z nimi. Spojrzałem — kobiety
Wyszły dawno do sali, by poprawić stroje.
Wtem... bije jedenasta — godzina, niestety!
Produkcji artystycznych, a z nią męki moje.
Westchnąwszy z głębi duszy, dla dobrego tonu
Daję przykład i pierwszy wchodzę do salonu.
Popis już się rozpoczął.

Bukiet dam uroczy,

Dam pięknych, który zaraz za wejściem ujrzałem,
Byłby olśnił mnie pewnie, zachwycił me oczy,
Gdyby niestety przy mnie — jakoś przy drzwiach stałem —
Nie było jegomości podeszłego w laty,
Z tęgim brzuszkiem i równie pulchnej facyaty,
Miał wąsy jak u suma, kołnierzyki duże.
Widać — jakiś wojskowy na emeryturze.

On spojrzał, a jam zadrżał wobec ócz olbrzyma.
Co tu gadać?! z wojskowym takim żartów niema!
Więc odtąd już cichutko przy drzwiach sobie stałem.
Ktoś w dali śpiewał arję jakąś tęskną, łzawą —
Ja, choć nie nie widziałem, jeszcze mniej słyszałem,
Uwielbiałem śpiew boski, bilem głośno brawo,
Bardzo głośno — po pierwsze: dla dobrego tonu,
Po drugie: pani domu weszła do salonu,
Która owym owacjom była bardzo rada,
A i dla niej coś także uczynić wypada.
Pauza, lecz bardzo krótka.

Młodzian wystrojony

Wysuwa się na środek, oddaje ukłony,
Deklamację: „Czarny szal“ głośno zapowiada.
Struchlałem... chciałem uciec... ale trudna rada!
Salon ma swoje prawa: co ci tam kto poda —
Uwielbiaj, bo tak trzeba.

Już to dzisiaj moda

Bardzo smutna, że u nas — każdy dom mieszczański,
Czy to konserwatywny, czy republikański,
Nie może się powstrzymać, aby po kolacyi
Nie dawał, zamiast tańców — śpiewu, deklamacyi
Lub muzyki — ostatnia, gdy córeczki w domu.
A zawsze nowe rzeczy, nieznane nikomu:
„W Szwajcaryi“, ustęp z „Dziadów“, z „Pana Tadeusza“,
Albo: „Kobiet! puchu marny!“ towarzystwo wzrusza,
Albo dla zmiany utwór wesoły, bez troski,
Który głosił w resursie Władek Szymanowski
Lub ktoś tam...

Ja zaś wierszy — choć się przyznać wstydzę,
Nie cierpię z całej duszy, srodze nienawidzę,

Bo każdy wiersz nie tylko, że mnie nie porusza
Swoją siłą, pięknnością, budową wspaniałą,
Ale zaraz w objęcia rzuca Morfeusza
Tak silnie, że śpię, stojąc... I tu tak się stało!
Monotonne: gę... gę... gę... skoro posłyszałem
Tak równiutkie i gładkie, jak wody kaskady —
Tylko — tylko com nie spał, omal nie chrapałem...
Myślę: trzeba uciekać, niema na to rady —
I za moim cylindrem powiodłem oczyma:
Patrzę w prawo — niema i na lewo — niema!
W tem nagle... „Fatalności sroga!“ zawołałem,
Bo stolik, gdzie postawił mój cylinder miły,
Damy oplotły w koło nieprzebytym wałem
I jako mur warowny prześzkodę stawily.
Mój Boże! w innej chwili ich kształty i stroje
Zwróciły by na siebie pewnie oko moje,
Ale teraz jam z lodu, ani zważam na to;
Cylinder, mój cylinder zajmuje mnie za to;
Nadzwyczajnie zajmuje!

Patrzcie: tam w oddali,
Gdzie kryształowa lampa na stole się pali,
Stoi on, mój ideał, wabiąc swym połyskiem,
Wywołanym ostatnim żelazka przyciskiem,
Woła, nęci ku sobie swoim kształtem miłym.
Pożerałem go wzrokiem i cicho mówiłem:
„Cylindrze! towarzyszu zabaw ulubiony,
Czemu nie możemy razem iść wesoło w drogę,
Poszukać twoich braci, rzucić te salony...
O, czemu cię w objęcia uchwycić nie mogę!
Pójdź do mnie! O, rozerwij te wieńce zwońnicze
Grona dam! użyj na nich podstęp lub zdrady,

A pójdę z tobą, gdzie chcesz, choćby... na ulicę,
Byle z dala od echa tej nudnej tyrady!“
A tu wciąż słysząc: gę... gę... gę... potem znówu dalej,
Zuów: gę — gę i gę... gę...

Czy goście słuchali —

Nie wiem nic, bom tak osłabł, że już ledwie stałem
I tylko mój cylinder wzrokiem pożerałem...
Wołałem doń: „Pójdź prędzej! porzućmy te progi!
Patrz, jak słabnę, jak trzęsą się podemną nogi...
To wszystko przez te nudy i przez ten tłum wielki...
Znajdziem świeże powietrze, znajdziem spokój wszelki...
Patrz tam: Noc księżycowa, ulica już pusta...
Więc „pod gwiazdą“ piweczkiem odwilżymy usta...
Pójdź prędzej! i skończ już raz moje narzekanie...
O, pójdź!... pójdź!...“

— „Czy pan skończysz raz to oczkowanie
Na mą córkę!“ — wrzasnął ktoś tuż mi ponad głowę,
Ale to tak dobitnie, że daje wam słowo —
Podobnego okrzyku w życiu nie słyszałem...
Odwracam się i drżący odrazu poznałem
Owego jegomościa, podeszłego w laty,
Z tęgim brzuszkiem i równie pulchnej facyaty,
Co to wąsy miał wielkie, kołnierzyki duże...
No, no... ten... ten wojskowy na emeryturze.
„Czy skończysz?“ — mierząc groźnie, krzyknął mi pod nosem!
Że ja zaś (jak mnie znacie) nad sprzeczki przenoszę
Zawsze spokój, więc mówię bardzo grzecznym głosem:
— „Nie wiem, gdzie pańska córka...“

— „Tak? nie wiesz pan?... proszę!
A któż to tam przy lampie, przy stoliczku małym?...
Czy to nie moja córka?... zaprzeczysz pan może!...“

— „Prawdę mówię, że o tem dotąd nie wiedziałem.“

— „Więc zaprzeczasz?!“ — znów wrzeszczy.

— „Ale nie, broń Boże!

Owszem córka!“

— „Paniczu! my cię dobrze znamy!

I wszyscy jak przed djabełem córki swe chowamy.“

— „Przedemną?“

— „Tak, przed panem! boś gagatek rzadki,

Bo bałamucisz panny, wdowy i mężatki.

Wszystkim głowy zawraca, a ślubów nie lubi!“

— „Ja — bałamut — ja?... ależ ..“

— „A potem się chlubi

Przed drugim, że ukradł serduszko dziewczyny...

Kiedy stojąc tu przed nią, stroi do niej miny,

Jak kot jaki!“

— „Mój panie, już zbyt długo znoszę

Twe słowa!“ — wołam groźnie.

A on mi: — „I proszę!...

Śmieć tu wobec mnie — ojca, patrzeć tak piekielnie

Na nią — na moją córkę, ah! to zbyt bezczelnie!

Horrendum!...“

— „Do stu diabłów! odczep się pan przecie

Odemnie!“ — wołam — „co chcesz?... Jak żyję na świecie,

Nigdy dotąd twej córki w życiu nie widziałem...“

— „Patrzałeś tam!“

— „No, to co?...“

— „Więc na nią!...

— „Patrzałem,

Gdy pan chcesz wiedzieć, na mój cylinder, co stoi

Tam na stole... czy jasne?...“

— „I pan się nie boi

Boga! kłamać mi w oczy! stroić sobie drwiny!...“

— „Mój panie!!“

Byłem wściekły... Ten ojciec rodziny

Irytował mnie — jego olbrzymia osoba,

Nie dająca mi patrzeć, gdzie mi się podoba,

Tylko na swoją córkę — złościła...

A w sali

Frak z krawatką swe wiersze wciąż deklamowali.

Patrzym groźnie na siebie z sąsiadem, jak żmije:

On innie straszy swym wąsem, ja wzrokiem go biję...

On woła: „Moja córka!“... ja: „Cylinder!“ za to...

Grozi — więc i ja równą płacę mu zapłatą.

— „To córka, mosanie!“

— „Nie! cylinder! panie!“

I tak dalej i dalej... Wtem, gdy głos podnoszę,

By mu dowieść... — „Ciszej tam! bardzo panów proszę.“

Woła ktoś i kładzie kres naszej irytacji...

Wojskowy się przybliża: — „Żądam satysfakcyi

Od pana!“

— „I ja również!“

— „Warunki pan poda

Jutro mym świadkom!“

— „Dobrze“ — powiedziałem — „zgoda!“

I stanął pojedynek.

Po niedługiej chwili

Oklaski i ruch nagły zapanował w sali,

Bo frak z białą krawatką już wiersze skończył,

Więc wszyscy powstawali, wszyscy wieszowali,

Nawet damy odeszły od mego stolika.

Nareszcie, chwała Bogu! Żegnam przeciwnika

I spieszę po cylinder; przesadzam ogony

Sukien damskich, nizkie im oddaje ukłony

I znajduję się obok stoliczka małego.

— „Czego pan szukasz tutaj? czy czasem nie tego?“

Pyta głosik kobiecy, jakaś rączka mała,

Cudowna, w swych drobniotkach paluszkach trzymała

Mój cylinder...

Spojrzałem...

Ach! to ona była!

Jego córka — kwiatuśkiem włosy przystroiła —

Poznałem ją — to ona!

— „Panie! ja widziałam

Twe spojrzenia“ — mówi mi — „ja je zrozumiałam...

Tyś spał, stojąc... Mój Boże! żal mi było pana!

Żal bardzo... deklamacja i rzecz taka znana —

To nudzi, nudzi bardzo... By prędzej do mety

Dobiegł pański cylinder, chciałam go po sali

Puścić w kurs tak z rąk do rąk... Chciałam, lecz niestety,

Wszyscy goście w salonie na mnie uważali,

A przy nich nie wypada... Ale mówię szczerze:

I jam także niegrzeczna! tracę słów tak wiele,

A pan śpiący, spieszo ci już do domu — wierzę —

Więc dobranoc!“

Odbiegła...

O, ty, mój aniele!

Ty jedna, coś pojęła te moje westchnienia,

Coś nie wzięła do siebie jednego spojrzenia,

Oplotłaś duszę moją swą świętą istotą,

Zachwycającym wdziękiem i lubą prostotą;

Ty, coś widziała, jak srodze cierpieć,

Ty odtąd jedna będziesz moim ideałem,

Jedyna!... Rzecz stanowcza.

Za cylinder biorę

I szukam wojskowego. Znajduję go w porę.

— „Panie! ja jestem winny!“ — głośno zawołałem. —

— „Miałeś słuszość. O, ojcie! daj twe przebaczenie,

Ja nie na mój cylinder, ja na nią patrzyłem,

Na twą córkę, bo kocham, kocham ją szalenie...“

— „Czy pan kpisz?“ — wrzasnął ostro, ale zmięknął potem,

Machnął ręką i mruknął:

— „Pogadamy o tem...“

No i pogadaliśmy tak, że skutek tego

Jestem sobie żonaty od wtorku zeszłego.

Życie mi istnym rajem, żona skarb jedyny,

Teś zaś, którego państwo z tego faktu znacie,

Pocziwina; baranek, mimo groźnej miny,

W wojsku nigdy nie służył, tylko... w magistracie,

A przytem dodać muszę: skarb nieoceniony —

Ten mój teś jest dziś wdowcem, słyszyście: bez żony!

Zięciowie mnie zrozumią. Teś i ta niewiasta

Są dla mnie... Co tu gadać? szczęśliwym i basta!

Cylinderze! tę usługę winienem ja tobie!

Nie zapomnę jej w życiu, a może i w grobie!

Wiem ja, wiem, że są tacy, co się ciebie wstydzą,

Wyśmiewają twe kształty, co cię nienawidzą,

Zwą pudłem albo rurą...

Śmiej się z ludzkich złości,

Bo ja, w imię twych zasług, w imię mej wdzięczności,

Wdzięczności, której słowo ludzkie nie wypowie!

Przysięgam: całe życie nosić cię na głowie!

(Wkłada cylinder na głowę i wybiega ze sceny.)

Do rekwizyt: Naturalnie cylinder.

Słowo o deklamacyi.*)

Deklamacya, stanowiąca jedną z najprzyjemniejszych rozrywek towarzyskich, będąc doprowadzoną do perfekcyi, staje się sztuką, godną postawienia w rzędzie innych sztuk pięknych. Zbiór żywych słów, harmonijnie ugrupowanych, stosownie wycieniowanych, tworzy najpiękniejszą melodję, przemawiającą nie tylko do zmysłów i serca, ale i do umysłu, poruszającą w słuchaczach najgłębsze fibry duszy. O pożytku i przyjemności, jakie daje dobra deklamacya, obszernie traktuje znakomity myśliciel, członek akademii francuskiej E. Legouvé, z pracą którego zapoznamy czytelników w jednym z następnych tomów naszego wydawnictwa.

*) Właściwie wydawnictwo „Bukietu“ rozpada się na dwie części: pierwszą, zawierającą monolog, monodramy i fragmenty dramatyczne lub humorystyczne, przy pomieszczaniu których zwracano uwagę przedewszystkiem, aby, przedstawiając wartość literacką i sceniczną, były zarazem mało znane lub nawet wycofane z obiegu księgarskiego, po za tem w ugrupowaniu ich nie zachodzi żadne stopniowanie, gdyż część ta książki przeznacza się przeważnie do użytku osób, świadomych tajników sztuki aktorskiej.

Druga część — deklamacyjna — ułożoną jest z pewną systematycznością: rozpoczynają ją rzeczy łatwiejsze, stopniowo idą coraz to trudniejsze. Ztąd też i powyższe praktyczne wskazówki stanowią zaledwie szkic elementarnych zasad deklamacyi.

W następnym tomie podamy monografię: „Deklamacyi“, pióra znakomitego współczesnego deklamatora i artysty p. J. Kottarbińskiego, podług artykułu, opracowanego przezeń dla „Encyklopedyi wychowawczej“.

(K. H.)

Tu przedewszystkiem pragniemy zabrać głos w kwestyi właściwego traktowania i stosownego wyboru utworów do deklamacyi publicznej w mniejszem lub większem kole. Faktem jest, iż deklamacya zyskała szerokie prawo obywatelstwa, niema prawie zebrania, wieczoru, koncertu — bez deklamacyjnych popisów. Byłby to fakt bardzo pocieszający, gdyby w danym razie jakoś popisów odpowiadała ich ilości. Niestety! tak nie jest... Do deklamacyi zabierają się nieraz ludzie, mający o niej słabe, albo żadne pojęcie. Wydaje im się, że dość mieć organ głosu (a któż oprócz wychowañców instytutu głucho-niemych go nie ma), dość nauczyć się na pamięć danego utworu; aby go wygłaszać *urbi et orbi*.

Rzecz się ma całkiem inaczej. Do dobrej deklamacyi oprócz niemałych warunków, potrzeba ciągłej wprawy, studiów, pracy...

Nie dość mieć ładny głos, aby zostać śpiewakiem, trzeba mieć szkołę, trzeba przejść długie i mozolne studia pod okiem doświadczonego profesora; tak samo rzecz się ma i z deklamacją. Nauka deklamacyi to ma do siebie, że nie da się ująć w żadne stałe reguły i prawa, że winna być stosowaną do każdego pojedynczego utworu poetycznego a zarazem do usposobienia i warunków deklamatora. Są jednak pewne elementarne przepisy, o których każdy pragnący się poświęcić studjom deklamacyjnym, pamiętać winien. Zanotujemy je tu pokrótce:

Pierwotnemi warunkami są głos i czysta wymowa.

Głos, jeśli nie jest dźwięcznym, miłym dla ucha, winien być w każdym razie podatnym do modulacyi i zdolnym do wydobywania odmiennych tonów. Ztąd ktoś, obdarzony głosem nosowym, chrapliwym — niepodobnym do zmiany, przy najusilniejszych studiach, może zabawiać się deklamacją

w czterech ścianach swego pokoju, ale niech nie marzy o publicznych występach. Rozumie się samo przez się, że indywiduum posiadające dźwięczny, miły i podatny do modulacji głos, ma więcej warunków do dobrej deklamacji, niż ktoś inny, o tembrze głosu suchym, bezdźwięcznym. Dzięki jednak pracy nad nim — modulującym się stosownie. A jednak ten ostatni może uczynić większe postępy w sztuce deklamacyjnej, jeżeli będzie pracował, niż pierwszy nieuprawiający tej niwy. Praca więc, ciągłe studja, nieustanne czytanie i recytowanie, nieustanna gimnastyka językowa, przysłuchiwanie się słynnym deklamatorom i t. p. — oto główne sposoby postępu na tej drodze.

Wymowa prawidłowa, czysta, bezbłędna jest pierwotnym, nieodłącznym warunkiem dobrej deklamacji. Poezja jest wcieleniem harmonii i piękna. Deklamacja jest wcieleniem poezji. Czyż może sprawić wrażenie deklamacja, w której brak będzie tych lub owych tonów, odcieni, dźwięków?... W takiej deklamacji nie będzie harmonii, a bez harmonii niema poezji. Ztąd, jeżeli na scenie uchodzi, a nawet nadaje się do pewnych charakterów niewymawianie liter: *ł, r, cz, sz* i t. p., szeplenienie, „czedzenie“ i t. d., to w deklamacji podobne braki rażą i osłabiają cały efekt. Nie mówię tu naturalnie o wierszach humorystycznych, którym można udzielić koncesję na podobne traktowanie, bo zresztą — nie mają one prawie nic wspólnego z „deklamacją“ w właściwym tego słowa znaczeniu. A zatem, osoby niewymawiające jakichkolwiek liter, szepleniące, „szadzące“ lub syczące — niech dadzą spokój deklamacyjnym popisom.

Przy wygłaszaniu wierszy elementarną zasadą jest jak z jednej strony, nie skandować ich, nie zatrzymywać się (pauzować) z końcem wiersza, ale z końcem zdania, nie

wybijając rymów, tak z drugiej znowu nie zatracać rytmicznej melodyi wiersza, nie polykać końcówek. Należy zawsze obliczyć się z głosem, aby go nie zabrakło przy końcu, aby miejsca potrzebujące uwydatnienia, mózdz wypowiedzieć mocniej, silniej niż inne, niewymagające tego. Siłę głosu, należy zastosowywać do miejsca popisu: w małej sali należy mówić ciszej, niż w dużej lub na scenie i t. p. *)

Następnym warunkiem powodzenia deklamatora jest stosowny wybór utworu do publicznego wygłoszenia. W tym razie można przyjąć za zasadę, że poezje liryczne nadają się przeważnie do wygłaszania przez kobiety, a utwory w charakterze eposu do wypowiadania przez mężczyzn.

Miłość cicha, wiara, nadzieja, tęsknota, ból, rezygnacja, poświęcenie się, smutek i t. p. — to nuty do wyśpiewania ich ustami kobiety.

Męztwo, rozpacz, wybuchy namiętnej duszy, miłość wulkaniczna, namiętności, chucie i żądze i t. p. — to pole dla modulacyjnych popisów męskiego głosu.

Rozumie się, że i tu muszą być wyjątki: kobieta, posiadająca w skali głosowej tony niskie, głębokie (talenta w rodzaju Modrzejowskiej, Deryng, Marcello) mogą szukać pola popisu na takich utworach, jak: „Hagar na puszczy“ i t. p. Mężczyźni, obdarzeni głosem miękkim, słodkim — niech szukają popisu w lirycznych poezjach.

Drugi warunek dobrego wyboru zasadza się na wybraniu utworu wartościowego, nadającego się do deklamacji, a niespospolitowanego zbyt.

*) Do „zewnętrznych“ warunków deklamacji należy nie używanie przy niej żadnych gestów. Prawidło to obowiązuje zarówno w salonie, jak i na scenie lub estradzie.

Nie wszystkie poezje, nawet najpiękniejsze, znakomitych wieszczów, nadają się do wypowiedzenia ich publicznego, zajmując w czytaniu — znużą przy słuchaniu. Do deklamacyi należy wybierać, o ile możności, rzeczy stanowiące całość zamkniętą w sobie, całość interesującą i rozwijaną stopniowo a umiejętnie.

Niemniej ważnym jest wybór rzeczy niespospolitowanych zanadto, budzących ciekawość słuchacza, a nie oklepnych tak dalece, iż słuchacz umie je równie dobrze, jak deklamator. Tymczasem dotychczasowy repertuar deklamacyi nie domaga właśnie na tym punkcie: „Czarny szal“, „Farysa“, „Sielankę młodości“, „Hagar na puszczy“ i t. p. umiemy bodaj wszyscy na pamięć, deklamujemy je na każde zawołanie; podczas gdy, niemniej cenne, równie piękne i nadające się do deklamacyi — spoczywają w głębi kart książkowych, nieznane, nie działające swym czarem na serca i umysły bratnie... Deklamator winien starać się o ciągle odświeżanie swego repertuaru i właśnie w tym celu przedsięwzięliśmy nasze wydawnictwo.

Karol Hoffman.

NIEZGRABNY.

Wiersz przez Karola Hoffmana. *)

Wszystkie w mieście dziewczęta,
Chwałą bardzo Wiktorka:
Józia, Helenka, Florka,
Jadzia, Władzia, Olesia,
Andzia, Felka i Cesia...
Któż imiona spamięta!
Wszystkie słowem dziewczęta,
Chwałą bardzo Wiktorka...
— „Jaki ładny! rozumny!
Jaki miły! niedumny!...“
I tak dalej i dalej —
Każda chwali, a chwali...
Lecz ja tylko, jam jedna,
Której sobie nie zjedna,
Com go słowem obraży
Nie raz jeden darzyła.

*) Nadający się do deklamacyi dla młodej panienki. Wypowiada się go w tonie naiwno-lirycznym, z początku wesoło, następnie z udanem rozdrażnieniem, w końcu ze szczerem uczuciem i upojeniem szczęścia. Wyraz „niezgrabny“ — stosownie do słów opowiadania, wygłasza się coraz to inaczej. (Przyp. Aut.)

W tym brylancie bez skazy
 Straszną wadę odkryła:
 Mowa — prawda, że miła,
 I rozumna i szczerą,
 Myśli wzniosłe i szczytne,
 Oko — niebo błękitne,
 Z niego dusza wyziera, —
 Uśmiech — figlarz powabny,
 Lecz — on strasznie niezgrabny!...

* * *

W tańcu naprzykład (aż passja bierze!)
 Zamiast mnie objąć mocno i szczerze,
 Ledwie się stanu ręką dotyka,
 Przez to się ręka ciągle wymyka,
 Gubię takt... robię — wzburzona, zła —
 Zamiast polkowych walców *pas...*
 Ja tańczę sobie, on znowu sobie,
 Gdy tak niezgrabny — cóż ja z nim zrobię?...

Raz szłam z wieczoru z ojcem i mamą,
 On odprowadzał i — znów to samo!
 Że na ulicy ciemno i błoto,
 Podbiegł więc do nas z żwąwą ochotą,
 Skłonił się lekko i podał ramię...
 Zgadnijcie komu?... Oh, mojej mamie!
 Przyznajcież same, że ten powabny,
 Ah, jak niezgrabny, jaki niezgrabny!

* * *

Dzisiaj po moim ślicznym ogródku,
 Już o wieczornym, czerwcowym chłódku,

Szukając kwiatków, szliśmy oboje,
 Kwiatków, co miały wieńczyć skroń moją
 Na świetnym balu, dokąd proszono
 Mnie i wybranych — li tylko grono;
 Więc dla pośpiechu mama nas dwoje
 Posłała niszczyć lilje, powoje,
 Róże, narcyzy, stokrotki, bratki,
 (Ofiary strojniś! biedne wy, kwiatki!)
 Lecz mi nie sporo idzie szukanie,
 Czy to słowika winno śpiewanie,
 Czy ciemnej nocy ponure szaty
 Tak upragnione skrywają kwiaty,
 Dość, że ni jeden kwiatek maleńki
 Do mojej drżącej nie wleciał ręki...
 A tu muzyki odgłos uroczy,
 Rozkosze balu stawia przed oczy
 I jeszcze bardziej mnie niecierpliwi...
 — „Panie! niech tylko pan się nie dziwi, —
 Lecz uciekają przedemną kwiatki —
 Nie mam żadnego, mama tam czeka,
 Czyś pan co znalazł — nie wiem z daleka?...“
 — „Znalazłem“ — szepnął — „kwiateczek rzadki,
 Kwiateczek cudny, w świecie jedyny,
 Lecz muszę spytać wprzód twojej matki,
 Czy mi z tym kwiatkiem ona pozwoli
 Przez wszystkie długie życia godziny
 Rozkosz i bóle prześnić powoli,
 Tuląc, jak teraz, go przy swem łonie?...“

Na mej kibici poczułam dłoń
 I mnie objęła rozkosz nieznana,
 I stałam, stałam — drżąca, spłakana,

Słuchając cudnej pieśni słowika
 I bicia serca w gorącym łonie,
 I pijąc kwiatów ożywcze wonie.
 Przykra mi teraz, zgiełkliwa, dzika
 Balowa zdała się muzyka...
 Szepnęłam wreszcie, tak lekko, z cicha,
 Jak cichy szelest lilii kielicha:
 — „Jakiż-to kwiatek?... Może paproci,
 Co mu przyniesie krocie do kroc?...
 Może to czuły kwiat sensitivity?...
 Może mimozy pąk pieszczotliwy?...
 Choćby najdroższy, w świecie jedyny,
 Panu, za trudów wspólnych godziny,
 W imieniu mamy moja osoba
 Pozwala wziąć go, gdy się podoba...“
 Wtem — przy swych jego uczułam lica,
 I prędzej, prędzej, niż błyskawica,
 Spadł pocałunek... Ach! jak niezgrabny!
 Choć, jak mówicie, taki powabny.
 Spadł pocałunek — na moje dłonie!
 Czemuż nie w usta?!.. czyż ja mu bronie?!..
 Ach, jak niezgrabny! jaki niezgrabny,
 Choć, jak mówicie, taki powabny.

* * *

Wtem — przytuloną do jego łona
 Księżyc oświecił czerwoną twarzą,
 I w jego blasku kwiateczków grona
 Ciekawie na nas patrzą i gwarzą...
 Szczęśliwe kwiatki! wiecie wy przecie,
 Że nie będziecie więdnać w bukiecie,

Wśród zimnych ludzi, w pysznym salonie.
 Wasza siostrzyczka — ja was obronię.
 I krasna róża, jaśmin powabny
 Z uśmiechem szepczą do nas: „niezgrabny!..“

Wracam bez kwiatków do mej mateczki,
 Na bal nie jadę szumny i wabny.
 Szczęśliwa jestem, jak me kwiateczki,
 Choć on niezgrabny, bardzo niezgrabny!..



WICEK PRZYARESztOWANY.*)

Obrazek humorystyczny

przez *Ex-Bociana* (*Faustyna Świdorskiego*).

OSOBY:

WICEK SIKORA, parobek wiejski.

ŁAFKIEWICZ, pisarz gminny.

ICYK ŚLIWKA, pacheciarz.

(*Rzecz dzieje się w areszcie gminnym: ławka, przed nią stół prosty, na stole dzbanek z wodą i bochenek chleba.*)

SCENA I.

PISARZ i WICEK.

(*Pisarz wprowadza Wicka do aresztu.*)

PISARZ.

Stosownie do wyroku sądu gminnego z dnia 1 (13) marca r. b., № 283 i na mocy wezwania tegoż sądu z dnia 4 (16) t. m. i r., № 296, skazany jesteś za obelgi słowne przeciwko dziedzicowi W-mu Fryderykowi Schweinfleisch, na trzy dni aresztu o chlebie i wodzie.

WICEK.

Głupstwo rozum zjadło! abo to dziedzic?

PISARZ.

Tylko co?

WICEK.

Mimiec a nie dziedzic! — jo dło moigo dziedzica da-

*) Przedruk z „Tygodnia“ Piotrkowskiego.

wnygo znołem respekt jak się patzy, ale dło mimca... nie-docekanie jego!

PISARZ.

Niemiec taki sam pan i człowiek jak i tamten.

WICEK.

Głupstwo rozum zjadło! to nie człowiek — ino mimiec!

PISARZ.

Niema co długo rozprawiać: będziesz siedział trzy dni o chlebie i wodzie, a jak się będziesz znał na rzeczy, to ci mogą ulżyć kary.

WICEK.

A ile pon chcą?

PISARZ.

Trzy ruble.

WICEK.

Nie głupim — wolę siedzieć!

PISARZ.

To siedź i cierp głód, kiedy ci się tak podoba (*odchodzi*).

SCENA II.

WICEK (*sam*).

WICEK.

Wszyćko na tym świecie poniewirka i psekupieństwo. Psiopara mimiec, powiedział mi, za pseproseniem państwa: „ty polsko świniol!“ Miałem go machnąć w łeb, alem sie wstrzymał i powiedziałem mu — uczciwszy usy wielmożnych państwa: „tyś som świnią“. A psecie pan mencynos, co jest psy sądzie, pedo, ze jak jeden drugimu co powi złego, abo jeden drugigo sponiwirow nawzajem, to nima kary; a tu bach!

siedź, chłopie, o głodzie tys dni i tys nocy za głupiego mimca!
Jak państwu pedom — psekupiństwo i koniec.

Uni myślą, że jo taki głupi i byde o suchym pysku
gnil w kozie, (*wydobywa z kieszeni jednej flaszkę z wódką,
z drugiej obwiniełą w szmatę kielbasę*) że byde tu siedział
przez napitku i przez jakiego kaska. I zebych tu zmarniał
w hareście, niedoceanie wase! głupstwo rozum zjadło!
(*odkorkowuje flaszkę i pije raz i drugi.*) Ha! niezło śwarcówka,
ino piespary mimcy, coś do ni sypią; pali jak ogień
w zywocie, jakby cłek na cholire zapad. (*popija jeszcze raz*)
A selmy mimcy! zeby was wściórności wzięli!

(*Śpiewa:*)

Kogo biją — mimca biją!

A bijcie tyz tę bestyją!

Połomcie mu ręce, nogi,

Niech polokom złazi z drogi.

(*Siada na ławce za stołem.*) Jakem służył u popse-
dnigo dziedzica za foćmana do kuni, to jakeśwa pojechali do
Krakowa kocibrykiem, odwozić paninę na pensyję z ponem
dziedzicem, cuda się dzioly! — a miolech bat na čtyry kunie
siarcysty. Jakiśwa wjechali na rynek, jak nie huknę roz
z bata kole kościoła Panny Maryi, a tu Panie Święty, wy-
rywa się parysolka z ręki jakiś imości od takiego huku —
i fru! het za kościół!... Jak nie poprowie, mości ponku,
drugi roz, jak nie polne około świętego Wojciecha — a tu
pińciu faktorów zydów -- klaps na zimie od wielkiego strachu!
jakby w nich pieron trzas! — Dziedzic, mości ponku,
sięgnął ręką do kieszeni: doł mi gorść pieniędzy małych ze
śrybla, ostrzyjackich: miolech za co pić bez coły tydzień...
A mimiec psiopara, niech Pon Jezus broni! ani pstyknąć

nie do nad kuźmi, a jak ci do strowne, to się z dyjobłem
podzielis. (*pije z flaszek, potem śpiewa:*)

Krakowiak.

U nasygo pana — chustka pozłacana,

U mimca bestyi — postronek na syi. (*bis*)

U nasygo pana — okna pozłacane,

U mimca psiopary — wiecheiem zatykane. (*bis*)

Dobra nasa pani — modli się w kaplicy;

A mimka nie chodzi — nawet do boźnicy (*bis*)

Panienecka nasa główkę w kwiatek zdobi,

A córka mimcury — w kuchni masło robi. (*bis*)

(*pije i bije w stół pięścią.*)

Ten pisorz gminny, to chyba cłek przez rozumu! Zeby
jo miał za psiopare mimca az tys ruble dawać, chybaby
sprawiedliwości Boskiej nie było na świecie! chybabych się
wścik! Ale pon pisosz — to straszny majster, ho! ho! wsyc-
kim sie nizko kłanio, nietylko uczciwszy usy mimcowi, ale
z pseproseniem i zydowi. E! unby sie ta i suchej mietle
skrobaczce kłanioł do samy zimi, zeby mu co dała w łape,
bo za cuz to sprawi swoi zunie kapelusik, mości ponku,
tsewiki na długich hobcasach, kiejby sierdziń u woza, suknie
z jaksamitu albo cycową, opientom, jak niepsymiezając torba
dziadoska w wodzie staplana!.. Cós robić, głupstwo rozum
zjadło!

(*pije i przekąsa kielbasę.*)

Śpiew — krakowiak.

Drogi panie wójcie! dyć sie Boga bójcie,

Choć bida doskwiro — pon pisosz obdziro. (*bis*)

Choć mu psyprowadzić ciele na podworzec,

Un woła na ciebie: „dawaj rubli korzec“. (*bis*)

Nie korzec to korzec — ale dwa korcyki,
Bo mu tsa dla baby — na nowe tsewiki. (*bis*)

PISARZ. (*głos za sceną:*)

Wicek!

WICEK.

A co?

PISARZ.

Pan dziedzic Schweinfleisch kazał cię zawiadomić, że
jeżeli go przeprosisz, to ci winę daruje, rozumiesz?

WICEK.

Czy Śwańflaş czy nie Śwańflaş, zawse mimiec; niedo-
cekanie jego, abym go miał pseprasać; jak mi jeszcze raz
powi, że jo, Wicek Sikora, chłop z chłopą, jestem polsko
świnia, to ja mu dziesięć razy to samo powim i jeszcze mu
w dodatku co psylenie, że mu sie dziadek Śwańflaş psyśni.
Głupstwo rozum zjadło! ale ja nie byde taki głupi: jak na
sądzie gminnym przegrom, z wyroku nie byde kuntent, ino
zaraz zahapeluje do prezysa sądu, a mimca prędy jak mnie
do kozy wsadzą.

PISARZ.

Pamiętaj, że będziesz załował Wicek! Idę do pana
dziedzica z odpowiedzią.

WICEK.

Nie byde załował, idź pon sobie kaj chces! (*uderza
w stół pięścią i śpiewa podchmielony:*)

Kogo biją — mimca biją!

A bijcie tys tę bestyją!

Połomcie mu ręce, nogi,
Niech polakom złazi z drogi!

A to ci panie, cysty kumedyjont — ten pon piosz: niby
to polok, a z mimcami tsyma. A zeby cie, pseklety świci-
bako, ~~cholera~~ sturbowała, zebyś sie chlebem mimieckim
udowił, zebyś go nie strawił. Łakomiec jakiś — i to niby
pelok, a mimcowi sie kłanio, jak zyd swojemu panu, Je-
zusowi!

Śpiew — Krakowiak.

Polocy! Polocy! cy we dnie, cy w nocy,
Nie kochajcie mimca — tego cudzozimca! (*bis*)
Jak wedle was siędzie — to was głąskać bedzie,
Lec wnet za łeb złapie, pazurem podrapie! (*bis*)
Tsa wygonić mimca za czerwone moze,
Niech tam pazurami na zimnioki oze. (*bis*)

SCENA III.

WICEK i ICYK.

(*Wicek chowa flaszkę do kieszeni.*)

ICYK (*wchodząc:*)

Witajcie, Wicku! jo tu do was psiszed, tak na od-
wiedzyny.

WICEK.

Bóg zapłać, Icyku, a co tam słyhać?

ICYK.

Ny! nic nie slichacz; ino jo tu tak z myłoszerdże psi-
chodze, aby was z tego krymynału wydobyć!

WICEK.

A jakim sposobem?

ICYK.

Ny! wi mocie, mój Wicku, bardzo delikatny rozum; wicie, że kto jedzie, to smaruje. Jak wy docie panu pisarzowi dwa ruble, to git gescheft, będziecie wolni, jak ten ptaszek co szpiwo.

WICEK.

Za sto por dyjobłów mom dać dwa ruble?!

ICYK.

Czekojcie no! wi, mój Wicku, jak sze dzysz uwolnicie, to przez noc, obróćcie do Ryczywole dwa razy z okowitem i zarobycze zaroz na rękę dwa ruble, a jak tu będziecie szedzyc, to nie zarobicie nycz!

WICEK.

Juści prowad!

ICYK.

Jaki wi mocie delikatny rozum! aj! waj! Jeżeli niemocie pieniędzy, to ja wam pożyczę dwa ruble, oddacie mi na święty Jon bez procentu! Widzicie, jaki jo dło was dobry i uczczywy.

WICEK.

Bóg wam zapłać, mój Icyku! (*dobywa flaszkę, pije do Icyka. Icyk pije, Wicek coraz więcej pijany.*)

ICYK.

Jo was jeszcze lepi poczęstuje, ino mi pudzecze dwa razy z okowitem do Ryczywole.

WICEK.

A kiedy?

ICYK.

Dzys jest niedziela; jutro sze odpoczniece, a pudzicie

roz we wtorek, drugi roz w szrode i zarobycze po rublu, to ja sze je odbiore od kipca te dwa ruble; a tero wam daje dla pisarza dwa. (*wyjmuje z kieszeni i daje Wickowi pieniądze*) Un tu zaro psidzie, to mu docie i puszczi was zaro z kozy, a na święty Jon to mi oddacie bez procentu te dwa ruble.

WICEK.

Kiedy jakoś tego interesu nimogę zmiarkować! (*pije znów z flaszki, coraz więcej pijany.*) Porachujcie no lepi, bo to jakaś krętanina; tak mi sie coś widzi.

ICYK.

Bójcie się Boga! (*wyjmuje kredkę i pisze na stole*) Słuchajcie i patrzcie! dołem wam teraz dwa ruble (*pisze kreski*) jeden, dwa; jutro — jak sobie będziecie odpoczywoć po te koze, to niepódziecie z okowitem (*pisze trzecią kreskę*) to jest już: jeden, dwa, trzy. We wtorek pódziecie z okowitem roz (*pisze czwartą kreskę*), patrzcie i uwożojcie do brze—jeden, dwa, tsy, stery. We środe pódziecie z okowitem jesce roz (*pisze piątą kreskę*), to jest razem: jeden, dwa, tsy, stery, pięć rubli — uwożojcie?

WICEK.

Juści z rachunku tak jakoś wypodo, ale tu coś strasliwie pocyganione! (*Pisarz wchodzi.*)

SCENA IV.

WSZYSCY.

PISARZ.

No cóż? namysliłeś się Wicek!

WICEK.

A niech tam ciorci wezmą; mo pou dwa ruble!
(*daje pisarzowi dwa ruble.*)

PISARZ.

A z kąd wziąłeś?

WICEK.

A co komu do tygo?! — pozycyłem sobie od Icka dwa ruble!

ICYK.

Nie dwa ino pięcz! Panie pisarzu, niech pan będzie za świadek: pięcz rubli mi winien.

WICEK.

Dyjabli ta wiedzą, ilem ci winien! Zydzie psioparo za śpiewoj, bo ci łeb urwę! — słyszys, śpiwoj mi zaroz — bo cię ubiję.

ICYK.

Nu! jus jo wom zaszpiwom, mój Wicku, ino pamiętajcie sobie, zeście mi winni pięcz rubli; pan piososz jest świadkiem!

WICEK.

Śpiwoj, psioparo zydzie!

ICYK (*śpiewa* :)

Śpiwom sobie bardzo piknie aj! waj! mir!
Pon Wycenty parobeczek — kawalir,
Zaszpywom mu kiedy koże, bo zły goj!
Mozeby mie na śmierć zabił o! joj! joj!

Jo sze z Wickiem postępuje bardzo recht,
Zrobił zemną bardzo ładny git gescheft,
Ze jest ze mnie, widzieliście — dobry zyd,
Dam mu za to szabasówki fein und git!

WICEK.

Hu! ha! — hop! hop! (*zatacza się i wychodzi po mału, śpiewając na nutę: „Kogo biją — niemca biją.“*)

Śpiewa :

Z karczmy idę — pijany, jo!

Otwórz, babo kanalijo!

Otwóź babo, bom się upiuję,

Bym ci skóry nie wylupiuję!

Hu, ha! dana moja, dana! (*Wychodzi.*)

SCENA V.

PISARZ i ICYK.

PISARZ.

Kto chce — niechaj tu sądzi — prawda, jak Bóg żywy,
Że opinija jest w błędzie, świat niesprawiedliwy:
W gazetach, tygodnikach, w różnych pismach innych,
Krzyczą i bałasują na pisarzy gminnych,
A sam, Icyku, widzisz, jak czynię uczciwie
Ze wszystkimi — choć w gminie ledwo że się żywię.
Ha! trudno; trudno, Icku! nie ma na to rady,
Choćbyś dawał ze siebie najlepsze przykłady —
Na djabła się nie zdało — chłop ich nie spamięta.

ICYK.

Prawde mówi pon pisorz — to wszystko bidłęta!

Rekwizyta : Ławka prosta, stół prosty, dzbanek, bochenek chleba, arkusz papieru, flaszka z wódką, kielbasa w szmacie. pugilars, pieniądze (dwa ruble), kawałek kredy. dzwonek.



BIAŁA SZATA.

Wiersz **Władysława Sabowskiego.***)

Na karę hańbiącą wyrokiem skazany,
W kajdanach, w więzieniu węgierskiem leży graf,
On ziemi węgierskiej chciał rozkuć kajdany
I chciał ją przywrócić do dawnych jej praw:
Bo krew w nim wrzała, bo w długiej niewoli
Swe pęta i bratnie najmocniej on czuł,
I zmogła go przemoc i uległ złej doli,
I wyrok okrutny w kajdany go skuł.
Dwadzieścia lat ledwie graf przeżył na ziemi
I musi shańbiony pożegnać ten świat.
Nie śmierć go przeraża marami groźnemi,
On, jak wyzwoleniec, zgonowi jest rad,

*) Piękna ta deklamacja posiada kilka przejęs, które uwydatnić w dykcji należy. Wstęp aż do słów grafa wypowiada się tonem opowiadania o smutnych wypadkach. Słowa grafa nacechować winna rozpacz mężka, z odcieniem bojaźni ku końcowi. Mowa matki brzmieć winna otuchą i wiarą. Opowiadanie o ostatnich chwilach utrzymać należy w tonie spokoju i śmiałej pewności siebie, aż do słów: „I zawisł na stryczku“, które oddać muszą cały tragizm sytuacji. Deklamacja to nadająca się przeważnie do wygłoszenia przez mężczyznę, chociaż wypowiedziana ze zrozumieniem i uczuciem przez kobietę nie o wiele mniejsze sprawia wrażenie. (a)

(a) Bez akompaniamentu muzyki.

(K. H.)

Lecz strach mu umierać na stryczku hańbiącym,
Gdy ludu dokoła zgromadzi się rój.
Strach wiedzieć, że wkrótce nad trupem gorącym
Wron stado rozpocznie biesiadę i bój.

Gdy matka doń przyszła, zboleła i blada,
On do niej tak mówił: „O zdrowa mi bądź!
Jam syn twój jedyny i świat mi wypada
Porzucić tak wczesnie i przemoc złą kłąć.

A za mną bez śladu zapadnie w mogiłę
I przyszłość i przeszłość i imię i ród;
Porzucić mam ciebie i wszystko, co miłe,
Oh! czemuż zgon dzieckiem nie zabrał mnie wprzód!

Jam nie drżał, wiesz, matko, w walk wrzawie, w bitw pyle,
I śmiało szedł naprzód, i w ogień i w bój,
Lecz wobec tej hańby upadną na sile
I zadrży przed katem jedyny syn twój!“

Chcąc natchnąć synowi pociechę i siły,
Tak matka mówiła: „O synu, nie drzyj;
Ja pójdę do króla ze łzami, mój miły,
I lzy me poniosę o okup krwi twej...

Więc nie drzyj, płacz matki masz w swojej obronie
I gdy cię nazajutrz powiesz tam kat,
Patrz na mnie: ja będę stać wprost na balkonie
I dam ci znak doli kolorem swych szat.

Gdy w czarnej strokana wystąpię odzieży,
To znak, że dla łez mych nie zmięczył się tron,
Wszak przyjmiesz śmierć mężnie, jak przyjąć należy
Za prawa swe — więzy, tortury i zgon...

Lecz jeśli przez tłumy zobaczysz mnie w bieli,
To będzie ci znakiem radosny ten strój,

Że wrogi na matki błaganie zmiękcze-
 Że życie twe u nich wyprosił płacz mój.
 I choćby ci stryczek na szyję włożyli,
 I wyrok wypełniać zaczynał już kat,
 O, nie drżysz! bądź pewny, że wkrótce, po chwili,
 Powrócą ci wolność, otworzą ci świat.“

Graf usnął i przespał spokojnie noc całą
 I śnił mu się wolny, otwarty dlań świat,
 Bo we śnie spostrzegał przez tłum szatę białą,
 Gdy stryczek na szyję zakładał mu kat.
 I dzwony zabrzmiały, lud skupił się rojny,
 I w ciszy na miejsce okrutnych szedł scen,
 I grafa już straży otoczył tłum zbrojny,
 I wiódł go, on wierzył w głos matki i sen.

I mnóstwo go oczu zławionych żegnało,
 I mnóstwo zań dobrych modliło się dusz,
 Niewiasty nań kwiaty rzucały nieśmiało,
 Za mężstwo go wieńcząc ostatni raz już!

Graf na nic nie patrzył, bo wprost na balkonie
 Dla spojrzeń swych ważnych jedyny miał cel;
 Tam matka stojąca ukryła twarz w dłonie,
 Lecz kolor szat zbawczy — ubrana jest w biel.

I serce grafowskie radośnie zadrgało,
 Wszedł śmiało na pomost, gdzie z stryczkiem kat stał.

I głowę z uśmiechem pod stryczek dał śmiało,
 I za wisł ^(b) na stryczku i jeszcze się śmiał...

Cóż matka?... cóż odzież znaczyła jej biała?

O święte jej kłamstwo! świat odda mu cześć!

Tak! matka go zwiodła, bo matka oń drżała,

By nie drżał, gdy będą na szafot go wieść.

(b) Z silnym naciskiem.

BENEFISANT

na głębokiej prowincyi.

Obrazek humorystyczny przez Osię Wędrowną.*)

Osoby:

MELPOMEŃSKI, aktor.

CHEŁPAK z okólnikiem.

Scena przedstawia skromnie umeblowany pokój w mie-
 steczku Melpomeńskiego; w głębi łóżko czysto posłane, nad nim
 przybity dywan. Z prawej stolik, na nim porozrzucanych kilka-
 naście książek i ról, koło niego kilka krzeseł. W głębi drzwi główne,
 z lewej okno.

*(Po podniesieniu zastawy Melpomeński wchodzi
 szybko, zmęczony i zirytowany — we fraku, sakpalcie,
 w białym krawacie i rękawiczkach. — Wchodząc, zrzuca
 z siebie palto i rękawiczki i pada zmęczony na krzesło:)*

A to panie ironia! hypokryzja! drwiny!
 Latam po mieście przeszło już cztery godziny
 I zaledwie się paru biletów pozbyłem!...
 A dalibóg, calutki jak mysz się spociłem.
 Gdzie przyjdę — tego niema, ten jest na urzędzie,
 Ten za małe godzinki dwie, albo trzy będzie,

*) Adama Osmólskiego.

Tamten zgrał się u radcy i śpi jak zarznięty,
 Inny znów goluteńki, jak turecki święty...
 Ta znowuż, choć południe minęło, od rana,
 Grając role dam wielkich, jeszcze nie ubrana.
 Nareszcie ten... ów... dał gdzieś przedemną drapaką...
 A to dalibóg szkoda i butów i fraka.
 Nie! tego już za wiele! krokiem się nie ruszę,
 Klnę się na Melpomeny artystyczną duszę!..
 Zrzucam benefisanta ten uniform cały...
 Frak! bilety! nożyczki! nawet krawat biały!

(zrzuca wszystko po kolei i kładzie marynarkę)

Albo nie! krawat biały niechaj pozostanie
 Na tych urągowisko, którzy nie są w stanie
 Ocenieć sztuki, pracy, talentu, zapалу
 I wyższego w artyzmie całym ideału!

(przechadza się chwilę w głębokim zamyśleniu)

Ktoby mi był powiedział niegdyś, gdy do sztuki
 Rwał mnie zapal młodzieńczy pracy i nauki,
 Że dziś, chcąc słowa mistrzów na cześć światła głosić,
 Trzeba żyć wciąż w goliźnie, lub się o grosz prosić;
 A gdy duma drga w piersiach, z hańbą dla artysty
 Jeść chleb suchy w nagrodę sławy promienistej;
 Byłbym go nazwał kłameką! Jakież byłem ciele!
 Dziś, gdy twardych orzechów w życiu zgryzłem wiele,
 Gdy za pracę i wzniosłe do sztuki poczucie,
 Często nie mam załatać czem i dziury w bucie...
 Widzę jasno, z głębokim smutkiem, jak na dłoni,
 Że sztuka do upadku już się całkiem kloni;
 Że tam jest tylko dzisiaj zabawa prawdziwa,
 Gdzie czuć zapach pieczenia, likierów... i piwa!

Głupi świat!.. idyota! ale pal go trzysta!
 Czy on wie, co jest sztuka? talent i artysta?...
 Najlepszy dowód, że choć czas jak strzała bieży,
 A biletów jak paczka leżała, tak leży!..
 Posłałem zaproszenia, u filarów miasta
 Sam byłem o protekcję, to dosyć i basta!
 Trzeba dumnie wzniesć głowę na te „ciężkie czasy“,
 Kto wie, co to jest sztuka, ten przyjdzie do kassy...
 A kto nie, da się poczuć tak jak od paczuli,
 Że się tak poznał na niej... jak gęś na cebuli.
 To moje *ultimatum*, a zatem wesolo!
 Rozchmurz, panie artysto, zachmurzone czoło!
 Drwij więc z łez i goryczy, co ci szczęście tłumią,
 Gdyż są jeszcze i tacy, którzy cię zrozumia!
 A tym, jeśli humoru iskra w tobie tleje,
 Opowiedz artystyczne niektóre koleje...

Nie jeden już wie o tem, gdym wstąpił na scenę,
 Czulem zapal, chęć sławy i artysty węg.
 Myślałem, że na skrzydłach w ten głupi świat wiary
 Wzlecę aż do tych wyżyn, gdzie bóstwa, fanfary
 Będą na cześć mej sławy huczyć jak pioruny!..
 Lecz się na mnie zawzięło koło mej fortuny...
 Niestety! mimo werwy, talentu, humoru,
 Marzenia się rozchwiały, a jasne z pozoru
 Iluzje, jak tęcz barwy, znikły po za chmurą
 I zapal ostygł, gdy wiatr wpadł mi pierwszą dziurą,
 Co to jak księżyc w pełni, w całym majestacie
 Błysnęła na wydartych łokciach, w mojej szacie.
 Pierwszy ten artystyczny tryumf, arcy-miły,
 Był jak woń z na pół zgniłej i trupiej mogiły.

Lecz kto raz na ciernistej sztuki wejdzie głogi,
Tego nawet sam djabeł nie zepchnie już z drogi;
Idzie dalej za gwiazdą sławy, co łśni zdradnie,
Aż dopóki ta całkiem nie zgaśnie lub spadnie.
Wtenczas dusza artysty zawodem zgnębiona,
Złamana życiem, zwolna wśród goryczy kona,
Lub też, gdy silna woła hartu nie ostudzi,
Śmieje się, przez łzy własne, do świata i ludzi
Jak obecnie ja dzisiaj wesoło się śmieję,
Opowiadając życia swojego koleje.

Ha! ha! ha! bo doprawdy i jest się śmiać z czego.
Raz, pamiętam, w wigilię „Benefisu“ mego,
Z biciem serca, bo dusza była na ramieniu,
Ruszyłem z miasta na wieś w trwodze i milczeniu;
Lecz choć każdy z daleka dwór wyminąć chciałem,
Furman skreślił, zajechał — ja zadygotałem.
Chcę wysiąść, a w tem z ganku — o święty Antoni!
Sześciu brytanów na mnie wypada, jak słoni;
Taki ich gościnności był obyczaj brzydkii.
Nuż wyszczerzać swe zęby na me chude łydki;
Wołam, cmokam i gwizdam im na głos dla znaku,
A te gwałtem chcą łydek mych spróbować smaku.
A na ganku, na domiar tych wszystkich katuszy,
Jak w pałacu zaklętym, ani żywej duszy.
Siedzę tak minut dziesięć, wreszcie pół godziny,
Lecz prócz brysiów, nikogo, znikąd, jak na drwiny;
Widząc wreszcie, że końca z tem wcale nie będzie,
Krzyknąłem na woźnicę, by zawrócić w pędzie
I od takiej uprzejmej polskiej gościnności
Zmykał jak od zarazy do następnej włości.

Dopiero dowiedziałem się od wyrobnika,
Że dziedzic mnie z pewnością wziął za komornika,
Na którego spotkanie, z czego już jest znany,
Skrywszy się sam ze służbą, wysłał... brytany.
Trudna rada! cóż robić? — jadę zatem dalej...
Wtem przed nosem mi w czwórkę jakiś wąsacz wali.
To właściciel z sąsiedniej wsi — Boskie ukaranie!
Ten znów w mojej marszrucie był na drugim planie —
Drugi pech! ha! nareszcie może numer trzeci
Za trudy i zasługi jaśniej mi zaświeci.
Zajeżdżam przed dwór prosto, wtem patrzę, jak zmyka
Przedemną jakieś *homo*, prosto do chlewika;
I z tym sprawa na czysto już z góry skończona,
Bo co może obchodzić sztuka Harpagona
I człowieka, co aby nie naruszyć złota,
Sam gra rolę swej trzody i wlaży do błota?
Więc się z figla serdecznie uśmiewszy szlachcica,
Ruszyłem na następny dwór pana dziedzica.
Gdym zajechał, jaśnie pan był właśnie zajęty
Szmulem, Ickiem i Joskiem, co mu gnietli pięty
I za weksle niepłatne, które trwonił z szykiem,
Grozili mu pozwami, oraz komornikiem.
Czekałem dwie godziny w salonie dziedzica,
Wreszcie jaśnie pan raczył ukazać swe lica;
Po krótkim, z mojej strony, grzecznem przedstawieniu,
No i jeszcze grzeczniejszym, miłym zaproszeniu,
Jaśnie pan spojrział na mnie, zmarszczył kąty czoła
I rzekł: „Sztuka, mój panie, to rzecz niewesoła,
I ja, radziłbym panu, póki czas, za młodu,
Zabrać się do jakiego innego zawodu...
Bo to chleb jest niepewny, choć lekki i miły...

A więc, młody mój panie, nie trać próżno siły;
Ja chętnieby ci służył; jednak z tej przyczyny
Nie mogę, bo wyjechać mam na urodziny
Sąsiadki, które co rok wyprawia wspaniale!
Dlatego, żegnam pana!...“

O mój ideale

Zwity z promieni sztuki!... mych marzeń nadzieje!..
Jakże zimny, grobowy chłód dziś od was wieje! —
Tak sobie pomyślałem — i struty, skwaszony,
Opuściłem „gościnne“ dziedzica salony...
Gdy się to powtórzyło po raz czwarty, piąty,
A wreszcie z małą zmianą i po raz dziesiąty;
Gdy prawie wszędzie, z małym wyjątkiem, dokoła
Witały mnie pochmurne i zmarszczone czoła;
Gdy zamiast cenić zapach do sztuki i sławę,
Najczęściej grzeczna tylko dostawał odpawę;
Gdy nikt szczerze braterskiej nie podał mi ręki:
Uczułem ogrom bólu i piekielne męki,
I cały świat, wraz z tarczą płomienistą słońca,
Zaczął w oczach wirować mych bez celu, końca...
I wreszcie, jak pod prawem przedwiecznego głosu,
Wpadł w jedną wielką przepaść bezdenną chaosu,
Ponad którą genjusze sławy, jako pełnie,
Jaśniały coraz słabiej, aż zgasły zupełnie!
Wystraszony tem widmem, gdym skoczył do bryki,
Ryknąłem jak zraniony śmiertelnie zwier dziki:
Niema dziś ideału, którego by ludzie
Nie zdeptali nogami, nie skalali w brudzie.
Hej! Mateusz! krzyknąłem, popędź rażno koni,
Może w biegu te smutne wiatr myśli rozgoni.

I tak monologując, mając w sakwie... zero,
Przed swoją artystyczną stanąłem kwaterą.

Gdym rzucił się na łóżko, z głową rozognioną,
Czułem, że pierś mi pęka, ból rozsadza łono;
A gdy wreszcie zasnąłem struty i zgnębiony,
W śnie, zamiast ludzi, karłów widziałem miliony,
Jak gnietli i niszczyli, szarpiąc na kawały,
Wszystko, w czem tylko piękna lśniły ideały.
Nareszcie zmordowany, zbity do żywego,
Zasnąłem najspokojniej snem sprawiedliwego!...

Myślicie, że to koniec bied benefisanta?
To chyba uważacie mnie państwo za franta;
Przecież miasta nie mogłem pozostawić w tyle,
Oj, miałem ja tam pieprzną też niejedną chwilę.
Najprzód potrzeba było poskładać wizyty
Filarom miasta, z których każdy znakomity;
A że każdy w swą wielkość jak w wyrocznię wierzy,
Przed każdym odmówiłem pół kopy pacierzy.
Tu się dopiero męki zaczęły Tantara!
Pan aptekarz się teraz widzieć nie pozwala,
Bo zajęty przy ważnem i pilnem zadaniu,
Gdyż ma u siebie czterech radców na śniadaniu,
Referent, że od władzy swojej dostał nosa,
Spojrzał się na mnie krzywo, marszem i z ukosa
I bąknął, kładąc ręce w kieszenie z powagą,
Że sztuka — to jest grosza wyłudą i blagą,
Mecenas, jako wielce filantrop uczynny,
Nie dołożył znów piątki na cel dobroczynny,
Sędzia, jako zwolennik i protektor sztuki,
Dawał mi przez godzinę rady i nauki —

I wreszcie skończył mowę swoją jak na drwiny,
 Że biletu nie weźmie, skutkiem chrzcin sędziny;
 Radca znów, wpadłszy w zapał wściekle oratorski,
 Prawił, że tylko lubi teatr amatorski,
 Bo tam człek patrzy się na hecę swoją,
 Przytem na kolacyjce nakarmią, napoją,
 A wy co? sami z tych bzdurstw ciągniecie korzyści;
 Wreszcie, mój panie, myśmy tu wszyscy artyści
 Lepsi od was — więc próżno nie durzcie nam głowy.
 Tu zacny radca kichnął i znikł z temi słowy.
 Pan burmistrz, istne echo swojej połowicy,
 Odrzekł, że lubi bawić się, ale w piwnicy
 Lub w wesołym kółeczku, przy pełnym kufelku
 I przy dobrej pieczeni, gdzie w jakim handelku;
 I przekonał, jak zacni mieszkańcy dowodzą,
 Że na teatr porządni ludzie dziś nie chodzą.
 Pan konsyliarz, chcąc przez ten czas swe imię wślawić,
 Musi z pół kopy chorych *ad patres* wyprawić,
 Więc nie chodzi na żadne tragedje, dramata,
 Ponieważ fabrykuje sam do nich temata.
 Pan kupiec, jako jeden z miejskich polityków,
 Poszedłby... lecz ma tylu na mieście dłużników,
 Że gdyby go ujrzeli w teatralnej sali,
 Zaręcza, żeby wszyscy przed nim pozmykali.
 Komornik znów wykrcił się chorobą żony;
 Rejent wraz z rejentową, że... zakatarzony;
 Wreszcie panowie A., B., C... no i tam dalej,
 Ci wyszli, ci gdzieś znikli, a ci wyjechali;
 Na dobitek wszystkiego jeszcze, daj go katu,
 Ten nie lubi komedyi, drugi znów dramatu,

Tamtemu operetki niech nie pokazują,
 Bo mu się na niej żona i córki popsują;
 Choć daję słowo święte wam, że złe dobrego
 Nie zgorszy, tak jak dobre nie naprawi złego,
 A skromność zawsze zbyttnia, jawna i otwarta,
 Ręczę słowem honoru, że sto djabłów warta!

Dość, że kiedym ostatni zbył numer „marszruty“,
 Wskórałem zawrót głowy i dziurawe buty!
 Gdym powrócił do domu, z ksiąg Fredry, Szekspira,
 Których czcilem, szydercza błysła twarz Satyra...
 Ale trudno! kto pragnie żywot wieść artysty,
 Ten musi dźwignąć mężnie ten wieniec ciernisty,
 Gdyż nie ten wielki, który dochodzi do celu
 Po kwiatach i wawrzynach, lecz po trudach wielu.

Ala ja tutaj państwu prawię jak najęty,
 A jestem goluteńki, jak „turecki święty“!
 Mniejsza byłoby o mnie, ale co powiedzą
 Koledzy i dyrektor, skoro się dowiedzą,
 Że zaledwo się kilka biletów sprzedało
 I że „bene“ się wściekło, tylko „fis“ zostało!
 Nie, na honor! gdy wieczór pustki będą w sali,
 Drapnę po za kulisy, albo jeszcze dalej;
 Bo chociaż miewam myśli wielce idealne,
 Z powodu pustek w kasie, w łeb sobie nie palnę...
 To byłby dramat trochę już zanadto krwawy:
 Swoją własną łeb roztrzaskać dla innych zabawy!...
 Ale po co na próżnych domysłach czas tracę;
 Ręczę, że gdy publiczność oceni mą pracę,
 Gdy zrozumie, jak wiele znosim dla niej trudów,
 Chociaż to dziś na świecie niema żadnych cudów

I chociaż dla każdego dzisiaj ciężkie czasy,
Napełni pustki w sali i szkatułę kassy!..
Lecz coś zanadto marzysz, młodzieńcze, niestety...

(Słychać pukanie do drzwi)

Ale cóż to? ktoś puka? pewno po bilety!
Już mi się los uśmiecha, choć srogim był zrana...
Proszę wejść!..

(wchodzi chłopak z okólnikiem)

CHŁOPAK.

Z okólnikiem jestem, proszę pana.

MELPOMEŃSKI.

A to ładnie uśmiechnął się, pal-że go czarcie!
Zapewne ze dwadzieścia prób jest na tej karcie?
Pokaż-no! *(czyta:)* „Pierwsza próba o dziewiątej z rana,
Z dramatu. O dwunastej z farsy „Osioł z pana“!
Po południu o drugiej z „Figlarnej dziewczyny“,
O trzeciej „Życie ludzkie to są istne drwiny“,
O piątej z „Belzebuba“, operetki nowej;
O siódmej znów z „Nadętej pani Burmistrzowej“;
O dziewiątej.. *(mówi)* Co? jeszcze?! e! tego za wiele!
„Z Rady w małym miasteczku“ czyli „Człowiek Ciele“...
Otóż masz! teraz chociaż wleż w skórę bawolą,
Bo w każdej obdarzony jestem główną rolą!
Ha! cóż robić? podpisać i iść na nie trzeba.

(podpisuje okólnik i oddaje)

Otóż to taki lekki nasz kawałek chleba!
Oj, chciałbym, by w tej chwili, byli tutaj tacy,
Co to sądzą, że żyjem bez trudów i pracy;

By te pliki, których ja nauczyć się muszę,
Przejrzeli choć pokrótce — a klęę się na duszę,
Że zmieniliby zdanie i — przyznali śmiało,
Że nie tak chleb nasz lekki, jak im się zdawało.

Rekwizyta: Łóżko z pościelą, dywan, stół, krzesła, kilkanaście książek, stos ról, kajet gruby (okólnik), bilety teatralne, nożyce, dzwonek.

Chłopca mego mi zabrali!*)

Wiersz przez El-y (Adama Asnyka).

I.

Chłopca mego mi zabrali,
Matulu!
W świat daleki go pognali,
A ja za nim umrę w bólu.
Dałam na mszę sznur korali,
Niechaj pan Bóg go ocali,
Matulu!

II.

Do szeregu poszedł z bronią,
Mój Boże!
Tam śmierć pewna — poszedł po nią,
Miłość moja nic nie może,
Ani łzy go nie zasłonią
Przed zawistnej śmierci dłonią,
Mój Boże!

*) Deklamacja dla młodej panienki, utrzymana w tonie rze-
wno-lirycznym. W pierwszej zwrotce dźwięczyć winna naiwna
skarga, następne trzy zwrotki nacechować należy boleścią stopnio-
waną i coraz większą, ostatnia wreszcie wypowiada się jako mo-
dlitwa a więc z wiarą, że Najświętsza Panienka wróci chłopca.

III.

Nie pytają o to wrogi,
Kto ginie?
Czy jest sercom ludzkim drogi?
Czy płacz siostry za nim płynie?
Czy umiera matka z trwogi,
Kiedy pyta śmierci srogiej:
Kto ginie?..

IV.

Na kulami zaoranej
Na roli
Ma paść we krwi mój kochany!
Czyliż na to Bóg pozwoli,
By samotnie ginął z rany
Zdała swoich — na zasianej
Krwia roli!..

V.

Spojrzyj na nas, Ty Panienko,
Przeczysta!
I nad serca mego męką
Ty się zlituj, o gwiazdzista!
Niebieskiego dnia jutrzeńko!
Osłoń jego Swoją ręką,
Przeczysta!...



ŚMIERĆ STAŃCZYKA.

Monodram w 1-ej odsłonie, oryginalnie wierszem napisany przez *Jana Kant. Turskiego*, w połączeniu z żywymi obrazami postaci historycznych epoki ówczesnej.

Osoby:

Akcyi: STAŃCZYK, błazen Królów Zygmunta I i Zygmunta
[Augusta.

Żywych obrazów: KRÓL ZYGMUNT AUGUST.
MARJA, córka wojewody.
MATEKA STAŃCZYKA.
PANNY z orszaku Maryi.
ZBIRY.

(Rzecz dzieje się w zamku Krakowskim, 1563 roku, w komnacie o wysokich oknach, słabem światłem lampy oświetlonej. Noc.)

Dekoracja: *)

Komnata starego stylu, ponura ale bogata; dywany na podłazie; dwa stoły po stronach, nakryte dywanami; na stole z prawej lampa starożytna kagańcowa (lub świeca woskowa) paląca się. Jedna metalowy i tak a kubek, w azubudzie 2 flaszeczki kryształowe (wino); na stole z lewej w białym przedcieradle opończa polska i szawary; chuata kobieca niewielka w kwiaty; na ziemi czapka

błazeńska z dzwonekami; stoł po środku, na nim papiery czyste i potrzeby do pisania. Krzesła gotyckie.

Ubranie Stańczyka: *)

Bardzo świetny ubiór włoski błazna z dzwonekami, trykoty lub długie pończochy powinny być barwą odmienną, najlepiej: jasno-żółta i czarna, albo ponsowa i biała, lub wreszcie biała i czarna, trzewiki z kokardami różnemi. Ubiór wierzchni i koszula w nieładzie.

Charakterystyka Stańczyka: *)

Twarz bez żadnego zarostu — sztyd, gorycz i boleść znamionująca. Włosy kędziorkawe, krótkie, mocno szpakowate.

STAŃCZYK.

(w ubiorze błazna, dzwoneki i czapka porzucone na ziemi, powstając szybko od stolika:)

Szalony byłem chwilę, lecz chwila minęła;
Szczęście, że opamiętał się przed końcem dzieła.
Mnie pisać listy do niej... mnie? tkliwemi słowy?
Błazen może być głupi, lecz musi być zdrowy.
A toć istną chorobą nazwano-by pewnie,
Gdyby błazen raz w życiu odezwał się rzewnie.
Jeszcze do kogo? Boże!.. co za obłąkanie!..
Do córki wojewody... to za zbrodnię stanie.
Chciałem pisać list szczery i uczuć wyznanie,
Bo chociaż to szaleństwem świat-by nazwał cały,
Sobie mogę powiedzieć, że mnie zczarowały

*) Według scenarjusza, ułożonego przez ś. p. Ignacego Kalicińskiego, zasłużonego art. dram. i reżysera. (K. H.)

Te cudne jej oczęta, i to serce święte,
 I te miłe usteczka zawsze uśmiechnięte...
 — „Panie Stańczyk!“ — mówiła — „czyś pan nigdy w życiu
 Nad ludźmi lub nad sobą nie płakał w ukryciu?..“
 — „Ja, nigdy!“ — rzekłem na to — „ja łez nie znam wcale...“
 A wtedy, gdym to mówił, czułem doskonale,
 Jak mnie dwie lzy srebrzyste ogniem swym paliły,
 Żem ich ukryć, niebaczny, wtedy nie miał siły.
 — „I pan nigdy nie kochał?“ — spytała z uśmiechem;
 — „Kochać błażnów — statuty nazywają grzechem“,
 Rzekłem na to; a tutaj, pod błażeńskie suknie
 Kładłem rękę, czy serce zbyt głośno nie stuknie.
 I nie mogłem uczucia stłumić żadną siłą,
 W jednej chwili nieszczęsnej ono mnie zabiło!..
 Pamiętam ową chwilę, nigdy nie zapomnę.
 Król Zygmunt, jeszcze Stary, me usługi skromne
 Przyjmował rad i lubił wysyłać mnie w posły,
 Gdy listy jaką ważną wiadomość przyniosły.
 Wieść przyszła, że królewicz owdowiał. Jam z wieścią
 Wysłan był wojewodę zasmucić boleścią.
 Zastąłem bladą Marję — wieści wysłuchała
 I była smutna bardzo, była jak śmierć biała...
 Zadrżałem, śmiech mi nagle uleciał z ust drżących
 I rzekłem słów kilkoro, ot — nic nie znaczących...
 Ona mi wtedy rękę ścisnęła... (Szalona!
 Tem ściśnięciem nieszczęście wlała mi do łona!)
 I rzekła: „Tyś pocziwy, ty masz serce, stary...
 Odgadłeś, że ja cierpię, o! cierpię bez miary!..
 I dalej nie słyszałem, choć może i lepiej...
 Byliśmy wtedy razem i głusi i ślepi,
 Wojewoda przed nami stał i rzecz skończona.

Ja listy zostawiłem, uciekłem... a ona
 Pobiegła, jak ptaszyna wśród śpiewu spłoszona.
 I odtąd biedny błażen męczy się i dręczy,
 Głośno śmieje się ludziom, a w skrytości jęczy...
 Biedny błaźnie! twą dolą miałeś być wyjęty
 Z ogólnych praw cierpienia... dziś twój los ciśnięty...
 Męcz się i dręcz, jak drudzy, boś się źle postarał
 O pancerz na twe serce i Bóg cię ukarał!
 Ukarzał!.. alboż karą miłość?.. Co wyrzekłem?..
 Nie karą, nie, Stańczyku, ale samem piekłem!..

(*Pauza.*)

O czemuż to anielskie urzekło mnie ptaszę...
 Pono już mej tęsknoty po niem nie ugaszę,
 Rozetli się i spali na popiół to próchno,
 Aż ludzie głośnym śmiechem w nicość je zadmuchną!
 I ja chciałem list pisać... ja słuzalec, bydlę,
 Co się sam dobrowolnie złapałem w tem sidle,
 I teraz, po lat tylu niewoli w przepychu,
 Chcę się wyrwać z najsroźszej mojej kary... z śmiechu...
 — Śmiej się, stary! wołali, śmiej, rozrywaj króla,
 Śmierć królowej Elżbiety nadto go rozczula.
 Fałszywi mu prorocy donieśli cichaczem,
 Że ją Bona otrula... i męczy się płaczem.
 Śmiej się, stary! tyś przecie zawsze go ubawił,
 Przecieżes się już w Polsce swym dowcipem wślawił! —
 Ja wtedy do nóg króla upadłszy, wołałem:
 — „Śmiej się, królu!“ król śmiał się i ja się rozśmiałem.
 — „Ale za ten śmiech“, rzekłem, „wynagrodź mnie, królu!“
 I czułem, jakim spłonął ze wstydu i bólu.
 — „Czego żadasz?“ rzekł dobry Zygmunt, „zrobię chętnie“,
 A ja: „Królu, żądałem mem się upamiętnię.

„Będzie to tylko prośba, maleńkie pytanie.“

— „Mów śmiało“, odrzekł Zygmunt, „odpowiem ci na nie.“

— „Powiedz mi, dobry Królu, czy Królewicz młody

Znał zblizka piękną Marję, córkę wojewody?...”

— „Zkąd tobie to pytanie?“ — ramionami wzruszył,

A jam poznał po twarzy, że się i obruszył.

— „Wszak Król mi obiecaney dotrzyma nagrody?...”

Rzekłem, a on: — „Znał pewnie, gdy był jeszcze młody,

Wszak Marychna na naszym wychowana dworze,

A toć się przed nim pewno nie kryła w komorze.“

— „Dosyć mi!“ — rzekłem — mowie nadając zwrot inny;

I prawilem błazeństwa, jak sługa powinny.

I król o tem zapomniał wydarzeniu całem.

A ja, wiedząc już wszystko, sam z siebie się śmiałem!...

(*Pauza.*)

Potem, potem... lat kilka upłynęło smutnych,

Tak bolesnych w owocach, a dla mnie okrutnych!

Król umarł — biedny stary ani się dowiedział,

Że August z drugą żoną w Wilnie sobie siedział!

Umarł z gorzkim na ustach łagodnych uśmiechem,

A ja chciałem dwór wtedy porzucić z pośpiechem;

Czemuż nie porzuciłem?! mem nieszczęściem całem,

Że się na nim, wzruszony namową, zostałem,

Że zadrgnąłem pod rączek Maryi uściśnięciem

I z błazna królewskiego zostałem — dziecięciem!...

Pamiętam i tę chwilę, gdy przyjazd Augusta

Obchodziły na zamku bale i rozpusta.

I jam się dał unosić zachwycenia falom,

Bo Marja przyświecała wszystkim zamku balom.

— „Pan Stańczyk chce opuścić dwór?“ — do mnie mówiła,
A oczu swoich blaskiem serce mi paliła.

— „Szkoła, będzie nam smutno, zostań pan, potrosze
I ja dla dobra króla wraz z drugimi proszę...”

Nie mogłem się już biedny — oprzeć prośbie takiej,

Zostałem. Lecz już ze mnie błazen lada-jaki;

Król August cierpiał więcej, niżli Zygmunt Stary,

Srogiej się po nim senat domagał ofiary,

Lecz zręczność jego matki węzeł spraw przecięła:

Synowi pękło serce... Barbara zginęła!

Trzeba mi wtedy było cieszyć go w rozpacz,

Lecz cóż uśmiech szalonych ust śród bólu znaczy?...

Więc też głupio dziś spełniam mój urząd błazeński,

I król sam mówi o mnie, żem błazen męczeński!...

Czuje to: zgasła moja wesołość, swoboda,

Wszyscy mówią, że szkoda, ja sam wiem, że szkoda!

Trzeba mi było zaraz z tych matni wypłynąć,

Pójsz o kiju po świecie i... w tym świecie zginąć.

Pocóż mi się tak trawić i patrzeć się zblizka,

Jak kochanka na króla zazdrosny wzrok ciska,

Kochanka, która śmiechem parsknęła-by w oczy,

Gdybym jej rzekł, że wzrok jej serce moje tłoczy!...

(*Pauza.*)

Darmo myśli odpędzam o śmiesznem szaleństwie,

Darmo sobie wspominam o mojem błazeństwie,

Które mnie gniotąc prawem niewoli żelaznem,

Wiecznie każe pamiętać, żem ja tylko błaznem!

Stańczyku! tyle mąk przecierpiałeś!... a ona —

Zawsze biała dziewiczo, zawsze zasmucona,

Zbiega ku mnie jak anioł, co śmierć przepowiada

I wyrzuca, że w serce zakradła się zdrada.

Zdradziłeś, błaznie, króla i siebie tą marą,
Która ci pierś przygniotła spracowaną, starą...

(*Pauza.*)

Lecz cóż zrobię nieszczęsny, kiedy w serca głębi
Taki się straszny pożar bezustannie kłębi?...
Ha! zgrzytnąć mi zębami i jak psu zawarczyć,
Kiedym się marze jakiejś dał słaby obarczyć.
Psem mi było pozostać tak, jako psem byłem,
Kiedy memi figlami pański ból koilem.
U mnie się z psiej natury raz odezwał człowiek
I dlatego nie mogę zamknąć zwiedłych powiek,
I nie zamknę ich, chyba kunsztownymi leki,
Których mam kilka flaszek z Królowej apteki.
Dobra to włoska moda, uczyć się jej trzeba,
Łatwa droga do piekła... chciałem rzec: do nieba!
Nieba?!.. o, niebo nawet zamknięte dla błazna,
Chyba, że mu zasługę zjedna dłoń przyjazna,
Gdy mu przetnie podstępem gorzkie dni żywota;
Wtedy wziąłby nagrodę; bo błazeńska cnota
Nie znaczy nic... wszak modlić nie wolno się jemu...
Po co błaznom modlitwy? niech służą takiemu,
Który z smutku do szczęścia, z szczęścia w smutek wchodzi;
Błazen zawsze jednaki — z uśmiechem się rodzi,
I z uśmiechem umiera!

(*Pauza.*)

Noc tak ciągle czarna,
Bez słońca ją rozwidnić to robota marna.
W mej duszy ciągle nocno; jedno tylko słońce
Rozwidnić-by ją mogło piękne, czarujące,
Ale to nie mnie świeci, nie świeci nikomu.
Od czasu, gdy Królewicz wyszedł z ojców domu,

Marja go pokochała — wiem, widzę, odgałłem,
Oczy mi jej to mówią, a oczy — zwierciadłem
Duszy czystej i świętej, nieskalanej niczem,
Oczy mi powiedziały z jej bładem obliczem.
Królewicz nigdy nie był dla Maryi wzajemny,
Odjechał i zapomniał — płochy i nikczemny!
Ani mu jej westchnienia, ani łzy rozpacz
Nie mówiły do serca, co ta rozpacz znaczy;
A gdy wrócił z Barbarą — cały nią zajęty,
Kochał ją tak szalenie, tak w uczuciach święty,
Że się Marja daremnie o miłość nie kusi,
A jednak przy nim jeszcze przesiadywać musi,
Patrzeć w jego oblicze, słuchać jego mowy,
Widzieć prawie co chwila, że szczęśliwy, że zdrowy,
To ją dzisiaj zajmuje; w wątpieniu, boleści,
Swojem własnem nieszczęściem dzisiaj się już pieści,
Lecz widzę, że bez niego schnie, więdnie, umiera...
Ha! czemuż jestem błaznem! wszak losów chimera
Mogła była to serce włożyć w pierś Augusta!
Dla mnie-by wystarczyły pełne śmiechu usta,
I onaby szczęśliwą była, a ja wtedy
Nie znałbym tego smutku i tej mojej biedy.
Wszak tylko w żalu po nim ścisnęła mi rękę,
Składając za boleści współczucie podziękę.
Mota mi się już w głowie, zamęt myśli płacze,
Niech raz tę gadanię ze sobą już skończę!...
Mam środek przewyborny, czas mi go już użyć.
Lepiej pewno nikomu nie zdoła posłużyć.

(*idzie do stolika i wyjmuje flaszkę z trucizną.*)

Błazen winien dowcipnie i żyć i umierać,
Po cóż mi ten szlachetny napój poniewierać?

Precz mi ta cała głupia rozpacz i tęsknota!
 Błoto wrzucić do błota!... *(Pauza.)*

Czyż i dusza z błota?...

Nie bluźnij, stary głupcze, boś nie teologiem,
 Gamratowi to tylko wolno mówić z Bogiem;
 Ty patrz twojego cielska i twej krwi i serca,
 Nie bądź duszy morderca, lecz mąk twych morderca!...
 A więc żegnaj mi, Matjo! żegnaj, królu słaby,
 Którego opętają po mnie włoskie baby!
 Na nic się wam już nie zdam i nie zdam nikomu,
 Na nic puste mieszkanie zakłętego domu,
 Już nim ludziom i światu dobrze nie usłużyć;
 Póki go świat nie zburzy, niechaj go sam zburzę
 I przekonam się jeszcze, jak to serce pęka,
 Gdy je w piersi dobija samobójcy ręka!

(pije z pośpiechem.)

Wypiłem!... tak mi dobrze!... Za chwilę zakończę,
 Lecz trzeba wprzód błazeńską rzucić precz opończę.
 O! tu... mam po mym ojcu stare jakieś szmaty
 I po matce mam chustkę, pamiętam jej kwiaty...
 Ustrojona biedaczka szła w niej do kościoła,
 Bo właśnie ojciec mówił, że dzwon na mszę woła...

(wydobywa suknie i przebiera się.)

Ja byłem małym chłopcem, szedłem przy jej boku,
 Boso, obdarto, nędznie, a z uśmiechem w oku.
 Ha! ten uśmiech przeklęty tak mnie był polubił,
 Żem dla niego łyż wszystkie z moich oczu zgubił.
 Gdybym był choć raz w życiu zapłakał serdecznie,
 Możeby nie był tyle cierpiał i tak wiecznie...
 Jam łyż nie miał, gdy, siedząc w nędznej chaty progu,
 Słyszałem konający jęk ojca w barłogu —

I rozpacz zapłakanej matki, gdy mówiła,
 Że ostatnią nadzieję wzięła jej mogiła.
 Ja nie miałem i wtedy w oku mojem łezki,
 Gdy na trumnę zbijano ojcu cztery deski.
 Gdy je dziad wziął na barki i niósł na mogiły,
 I matka szła za nimi bez ducha, bez siły.
 Nie płakałem, gdy matka w straszliwej rozpacz
 Porwała mnie za rękę, biorąc kij żebraczy.
 I w grobie zostawiając całe szczęście swoje,
 Rzekła, że odtąd musim tułać się oboje.
 Nie czulem, żem sierotą, że matka — żebraczką,
 Ale się cieszył nową rozrywką... tułaczką...
 Śmiałem się nawet, kiedy w pałacu starosty
 Pogłaskał mnie pod brodę jakiś sługus prosty
 I dając kawał chleba matce... mnie zachęcił,
 Abym swoje usługi starości poświęcił.
 Nie płakałem, gdy matka, spokojna o dziecko,
 Poszła z krwawymi oczyma tułać się po świecie
 I mnie swym pocałunkiem pobłogosławiła...
 I poszła... poszła żebrać, w łachman się okryła,
 Wtedy, gdy mnie w bogate wiedziono komnaty
 I dano tę pamiątkę po niej... chustkę w kwiaty.
 Wszystkiego mi ten uśmiech narobił w mem oku,
 W nim mogłem czytać słowa mojego wyroku.
 Wkrótce mnie też w błazeńskie suknie przystrojono
 I jak pieska głaskano, pojono, karmiono...
 Wkrótcem się też dowiedział, że matka gdzieś w nędzy
 Umarła... pan mój dobry dał dużo pieniędzy,
 Aby jej pogrzeb sprawić... i był pogrzeb suty...
 Jam i wtedy nie płakał; zbytami zepsuty,

Nie czułem, co śmierć matki, co sieroctwo znaczy...
Ja się śmiałem... i nie wiem, czy to Bóg przebaczy...
Śmiałem się... i błazeński strój mi był do twarzy.

(*Pauza.*)

Lecz cóż to? sen, czy tylko tak mi się coś marzy?
Tak mi słodko na sercu...

(*Draperja, zakrywająca drzwi główne, rozsuwa się, ukazując obraz I: Marję, córkę wojewody, a za nią orszak jej służebnych. Muzyka gra wesołą serenadę bardzo cicho.*)

Bez żadnej przeszkody

Ja mogę mówić tutaj z córką Wojewody.

Tu do mnie sama zeszła z swych panien orszakiem,

Jakaż litość w tem sercu nad biednym żebrakiem!

Żebrałem o tę litość... ha! późno nadchodzi...

Wypiłem napój... którym matka dzieciom słodzi

Ich żywot utrapiony... Marjo! (*Draperja zasuwaa obraz, muzyka przechodzi w pieśń kościelną — po pauzie:*)

Marjo!...

(*Draperja rozsuwa się, ukazując obraz II: matkę Stańczyka, jako żebraczkę, proszącą o wsparcie zbirów, którzy ją potrącają i wyśmiewają.*)

Matka!...

Ty jeszcze żebrzesz biedna... żebrzesz do ostatka?...

Puście mnie!... puście, zbiry!... zabiję!... uduszę!...

Puście tylko do matki, ja widzieć ją muszę!...

Muszę!... (*Draperja zasuwaa obraz. — Muzyka ustaje. —*

Pauza.) Ha!... boleść szarpie... mary jakieś łudzą...

(*potrąca nogą czapkę z dzwonekami.*)

Te dzwonki... jeszcze z grobu pewno mnie przebudzą,

I one dzwonić będą na moim pogrzebie,

I wyżebrzą mi litość swoim śmiechem w niebie...

Lecz cicho... to król idzie — pewnie znów zmartwiony
Wspomnieniami Barbary, intrygami Bony...
Trzeba mi go rozerwać, przysięgam na duszę,
Że z ust króla mojego uśmiech dobyć muszę —
Mam już dawną wesołość i dowcip i werwę...

(*Draperja odkrywa postać Zygmunta Augusta z zasępioną twarzą; muzyka gra poloneza.*)

Otóż on... Królu! smutek wasz natychmiast przerwę

Ucieszną anegdotą... (*Draperja zakrywa obraz, muzyka ustaje:*) Jakto?... Króla niema?...

To była mara tylko?!.. Ha! trzeba olbrzyma!

Aby przeniósł te męki; nie, już ich za wiele!

Dziwne, jakieś szalone nadchodzi wesele...

A tutaj — boli, pali, żre, — serce już pęka!

Ha! jakaż w tej słodczy skryta była męka!

Zawraca mi się w głowie, noc czarna dokoła,

Jakiś głos... cicho!... słyszę — matka na mnie woła.

Puście ją!... Ha! bezsilny, nie mogę dać rady,

Wszyscy, wszyscy zdradzili, we mnie niema zdrady!

(*chwije się.*)

Co to jest?... Boże!... śmierć czuję już w łonie!

Pełzałem całe życie, pełzać trzeba w skowie!

(*pada na ziemię.*)

Więc w prochu... ha! tak, w prochu wyzionąć mi ducha...

(*pauza, muzyka gra pianissimo marsza żałobnego.*)

O, czuję, jak od serca płomień życia bucha

I resztką w wątłym ciele szamocze się jeszcze;

Czuję, czuję, że resztą życia już się pieczęję;

A straszne i okropne te moje pieszczoty,

I Którymi kończę żywot błazeńskiej brzydoty.

Kończę, kończę, bo pali! o! pali!.. Ty, Boże!
 Bądź przy mnie, gdy ostatni raz serce otworzę...
 Marjo! Marjo! przepiękna córo wojewody,
 Jesteś główną przyczyną tej niezmiernej szkody,
 Jaką błazna śmierć wszystkie pokrzywdza narody...
 Ty im za to odpowiesz, o! odpowiesz święcie
 Za jedno białych rączek serdeczne ściśnięcie.
 Te rączki twoje białe — to moja mogiła,
 Tyś mnie ich uściśnięciem dawno już zabiła!...
 Życie moje snem było i półśmiercią tylko...
 Tyś mnie na prochy starła jedną szczęścia chwilą...
 Nie byłem ja już błaznem i nie byłem sobą,
 Tyś mnie tem uściśnięciem zgubiła!...

Ja z tobą!...

Ja? — Boże! ciemno! głucho! ten chaos! ten zamęt!..
 Ja... Boże!.. Matko moja!.. ha!.. gdzież jest... sakrament?..

(kona.)

ZASŁONA ZAPADA.

Rekwizyta: 3 stoły, 4 krzesła gotyckie, 5 dużych dywanów, lampa staroświecka kagańcowa paląca się, dzban duży i kubek metalowe, 2 flaszeczki kryształowe z płynem, białe czyste prześcieradło, żupan polski i szarawary, chustka kobieca niewielka kwiaty, kompletny strój bladeński, czyste papiery, staroświeckie potrzeby do pisania, pióro gęsie, delja lub strój włoski z almawiwą (dla Zygmunta), 4 halabardy, 4 zbroje, 4 szyszaki, sakwy żebracze, ogień bengalski lub drut magnezjowy, 10 łokci muszlinu lub kitajki, rama albo kotary do żywych obrazów, dwa dzwonki.

„Dla czegoś się nie ożenił?”

—❖—

MONOLOG HUMORYSTYCZNY

przez

Sta-wera.*)

Stary kawaler wchodzi na estradę i po chwili mówi:

I złość i wstyd mnie bierze, kiedy nowi znajomi zaczęli mnie hurmem wypytywać: „dla czegoś się nie ożenił?” Ciekawa to wprawdzie historia. nawet dość zabawna, ale dla mnie — bądź co bądź — średnio przyjemna. Opowiem ją państwu, bo widząc was tu zebranych dość licznie, jestem pewny waszej sympatii... Już to muszę się zwierzyć wam, łaskawe panie, że tancerz ze mnie bardzo, ale to bardzo nie tęg.

Pamiętam na pewnym wieczorku, wyciągnięto mnie gwałtem od kart, a zmuszono tańczyć. Prosiłem, błagałem, zaklinałem się na wszystko w świecie, że nigdy w życiu do tańca nie miałem zdolności. Ale gadaj do nich! musiałem wykonać *trotę*, nie mając o niej wyobrażenia. Następstwem tego było, że przy zwrocie w lewo, podskakując z nogi na nogę, padłem na posadzkę, wskutek czego, kardynałna część mojej garderoby, o zgrozo! pękła, a ja pełen sromu, ponosem obłąkaną tancerkę zostawiwszy na środku salonu, wydałem się spieszenie.

*) Przeróbka z humoreski, wydrukowanej w Kalendarzu „Ogniska Domowego”, dokonana przez K. H. i J. G.

Od tej katastrofy, pełen boleści, naznaczyłem sobie dni czterdzieści celem nabycia kunsztu „choreografii“, za jakąkolwiek bądź cenę.

To więc, a nie co innego spowodowało mnie, że wziąłem u byłego eks-tancerza, a obecnie nauczyciela pod Kazimierzem, czterdzieści lekcji.

Lecz jak ów djabeł, który przez siedm lat uczył się w Bilbao po biskajsku, i nie nauczył się więcej nad trzy wyrazy, tak też i ja, po skończeniu tych lekcji, umiałem tylko kilka figur kontredansa i jakąś polkę na dwa *pas*.

Nikt się więc nie będzie dziwił, gdy powiem, że wszystkie tańczące harbatki, pączki, pikniki i t. d., na których być musiałem, nie przypadły mi do smaku.

Co chwila musiałem odpowiadać na tysiączne pytania, skierowane do mojej osoby, a wychodzące od osób różnorodnej płci, wieku i powołania.

— Pan nie tańczy? pytał, dajmy na to, papa.

— Proszę, tak młody, i wcale dobrze wyglądający mężczyzna i już nie tańczy, mówi z komplementem mama.

— Czy pan przypadkiem nie cierpi na serce? indagowała córka.

Jak mogłem i umiałem, starałem się zaspokoić ciekawość pytających, i tak: Papie puściłem szmermela o ranie w nodze. Mamę dobrodziejkę zachwyciłem mojami głębokimi przekonaniem religijnymi, zapewniając ją, iż taniec najwyraźniej przez Kościół św. zabroniony. Córuni rzekłem, wzdychając głęboko, że nie tańczę z obawy, by uczuć, jakie żywję do niej, z serca nie wytrząść.

Dzięki więc owym wymówkom, żadna ze znanych mi lepiej osób, nie dziwiła się wcale memu wstęgowi do tańca. I długo mi się upiekało, że nie potrzebowałem wycinać

hopków i pocić się niepotrzebnie, gdy zły demon, oczywiście kuternoga, wszedł w postać pani naczelnikowej i podał myśl urządzenia dobroczynnego balu.

Tego balu nie zapomnę nigdy, choćbym miał przeżyć Bismarcka.

Ja, jako najmłodszy i stojący w stosunku służbowym do niektórych z panów gospodarzy, musiałem, czy to przy dekoracji sali, czy staraniu się o różne ozdoby, kwiaty, dywany i meble, najwięcej być czynny.

Tydzień cały, z irytacji nie mogłem nic jeść, a ze dwie noce przed balem nie spałem ani chwili; tyle miałem trudów i kłopotu.

Niech tam mówi sobie co kto chce, ale ja jestem święcie przekonany, że i pewne gastryczne przypadłości, którym teraz bardzo często podlegam, datują się od tej chwili.

To mnie tylko pociesza, że dzięki moim zabiegom, sala do tańca wyglądała wspaniale, i jak się wyraził jeden z okolicznych podlotków: „lechtała wzrok i drażniła powonienie“ — (gdzie ona ten zwrot wyczytała?)

Posadzka błyszczała jak szyba z czeskiego kryształu, lepiły wprowadzić do niej nogi, lecz to tylko z początku, później bowiem szanowne zgromadzenie wyfroterowało ją *expedite* swojemi podszwami.

Sośniny o żywicznym, lubym a zalecanym przez doktorów zapachu, wypotrzebowałem fur sześć. W około sali biegły lustra od najmniejszych do największych kalibrów, ubrane w amarantowe kokardy z żółtymi czopkami, które to ozdoby moje sąsiadki, panny Milcia i Lola Kupkierkuwiczówny, własnoręcznie sporządziły.

Ogromny zaś mosiężny pajak, wypożyczony od kahału, oświecał całą salę *à giorno* i rzucał snopy światła na

czarodziejsko wyglądające hełmy, flagi i strażackie topory, któremi sala, z uwagi na cel, dotyczący pomnożenia funduszków tej instytucji, arcy-dowcipnie była ustrojona.

Wpółśród egzotycznych krzewów i oleandrów, obmyślałem dla muzyki i to sam (bo tamci panowie byli do chrzanu) rodzaj sztucznego, skromnego a jednak wygodnego podniesienia.

Na dwóch ofiarowanych nam przez zarząd gminny beczkach, umieściłem pakę z fortepianu, pożyczoną od pana sędziego i okrywając ją dywanikiem sekretarza tegoż, utworzyłem w ten sposób rodzaj podwyższenia, które w zgromadzonych nie tyle zdziwienia ile zdumienia wywołało.

Robiłem tedy co było w mojej mocy, by zabawa pod każdym względem była świetną, niedość, że sobie młotkiem pozbijał palce i opruszył czuprynę (mówię opruszył nie zapruszył), wyrównując w sam dzień balu pozostałe mankamenta, ale, na dobitkę wszystkiego, mój naczelnik zamianował mnie urzędowym wprowadzaczem przybyłych dam.

No, te wprowadzania to jeszcze pół biedy. Wywiązałem się z tego zadania o tyle szczęśliwie, że żadnej z pań falbany nie oberwał, ani na ogon nie nastąpił. Wprawdzie przez zapomnienie, zamiast pani radczyni, podałem ramię panu radcy, ale taka pomyłka Aleksandrowi macedońskiemu przydarzyć się mogła.

Kazano mi tańczyć.. Tak jest tańczyć, i to z temi damami, które nieco przydługo wygrzewały fotele, a mówiąc utartem wyrażeniem, sprzedawały pietruszką.

Nie pomogły odwoływania się na ranę, ewangelie i t. d., konieczność była silniejszą od argumentów. Poprawiłem więc czuprynę, wyprostowałem się, i wysunawszy z nieopisanym wdziękiem jedną nogę, zająłem koło pieca wyczekujące

stanowisko. Niedługo czekałem. Muzyka strażacka, licząca sześć sił instrumentalnych, zaczęła skoczne wywodzić trele, a ja, widząc, że mnóstwo osób szykuje się do tańca, a do dobrze mi znanej i obsadniej jak kafar doktorowej, nikt się nie zbliża, posunąłem się z galanterią do niej.

Jak ów tabun, który z zamkniętej wydobędzie się stajni, tak ja z panią doktorową, niewstrzymanym rwałem pędem; w oczach migwały mi tylko wirujące pary, błyszczące światła, girlandy i festony.

. W tym zapale nie uważałem, że moja tancerka usiłowała się wyrwać z rąk moich, a śmiech ogólny powstał na sali.

Dopiero nagle, niespodziewane i niegrzeczne szarpnięcie wstrzymało mnie...

Za połę fraka trzymał mnie kurczowo konsyliarz i wołał:

— Mój panie! co pan robisz? Pan kompromitujesz moją żonę, wszak to introdukcja do poloneza, a pan tańczysz galopkę?... Mój szanowny panie, to jest więcej niż zapomnienie, niż lekceważenie, to jest chryja, tak jest, to chryja! mój panie!

Oderwano mnie w gwałtowny sposób od zasapaney tancerki i wyszliśmy do przyległego pokoju, w którym równocześnie mieścił się bufet.

Kląłem w duchu wszystkie polonezy, walce i polki, kląłem introdukcję, naczelnika, doktora i zgromadzonych a najwięcej siebie. Długo nie mogłem zebrać myśli, jakim sposobem wzięłem poloneza za galopkę? Przecież uczył mnie ów metr z pod Kazimierza, że poloneza trzeba tańczyć powoli, trzymając dla fantazji rękę na żywocie i suwając nogami w obydwie strony równocześnie. Polka zaś to się drobi

i od czasu do czasu przysiadają... Raz, dwa, trzy — raz, dwa, trzy...

Westchnąłem nad niedokładnością mojej pamięci, i z ogromną biedą przeprosiwszy obrażone osoby, zacząłem z zajęciem przyglądać się bufetowi.

Bufet zasilony był w głównej części „półmiskami“, przywiezionymi przez przybyłe rodziny i muszę przyznać, że stół wyglądał wspaniale.

Z rozrzwienieniem oglądałem różne kulinarne okazy, spoczywające obok siebie w spokoju. Obok kielbasy leżała gęś nadziana jabłkami, obok zrazów z kaszą niewinne gołąbki. Nie namyślając się długo, urwałem jednej gęsi udo i przeniosłem je do mego zółdka. Za łapką poszedł kawałek zajęczego combra, za combrem dwa karmenadłe na zimno, a potem spożywszy jeszcze parę kawałków „Gateau provençe“, zakropiłem to wszystko sporą dozą „Château Latour Blanche“.

Dla wytłumaczenia mojej gastronomicznej niedyskrecyi, muszę tutaj dodać, że byłem głodny jak Maćko Borkowicz, gdyż dla braku czasu, nie jadłem ani śniadania, ani obiadu, ani wiecerzy.

Gdy nieco posilony i z uspokojonemi już znacznie nerwami zabawiam się w sali, spostrzegam, że naczelnikowa, która była gospodynią balu, rozpaczliwie kiwnięciem palca przyzywa mnie do siebie do garderoby.

Przebijam się przez tłumy gości i widzę, jak ona z rozpaczą ręce łamie.

— Panie Pieluszkiewicz! Coście panowie najlepszego zrobili?

— Co, łaskawa pani dobrodziejko? — pytam zaintrygowany.

— No, i spuść się tu na kogo, piękny mi komitet, i do tego z samych poważnych i dystygowanych osób złożony. A nie było mnie to samej wglądać we wszystko. Mam teraz za swoje!... I któryż to z panów taki dowcipny, że kazał w piecu napalić jak w łaźni, a stół zamiast obrusem nakrył prześcieradłem?

— A to kolega Fikalski! mówię wymijająco. On miał wyznaczony wydział ogrzewania i oświetlenia, co do bufetu zaś, to...

— Składaj pan zdrowinę na innego, a ja jestem święcie przekonana, że to pańska sprawka. Kto widział w sali do tańca palić jak w hucie. Dalej, mówiła naczelnikowa, odsapnąwszy, masz pan wiedzieć, że w garderobie wiele rzeczy toaletowych brakuje i staroscina musiała z tego powodu odjechać do domu. Piękny porządek — niema co mówić!

— Ale o cóż chodzi, czego może brakować w garderobie? mówię z pewną pasją. Grzebień i szczotki są.

— A, to bagatela.

— Trzy funty pudru wziąłem.

— I to nie.

— Szpilek komitet kupił za 30 kopiejek.

— Nie to, nie to!

— Zuzię do posługi zamówiłem!

— Ależ nie Zuzia, to coś ważniejszego niż Zusia.

— No, mówię, przyskakując rozdrażniony do naczelnikowej, daruje łaskawa pani dobrodziejka, lecz dłużej w ciuciubabkę grać nie myślę, i dalibóg nie wiem, czego z środków toaletowych może jeszcze brakować.

Przypominacie sobie, łaskawi państwo, jak to w 3 cim

akcie „Zbójców“ Schillera, Franciszek Moor chwyta Amelię i ciągnie *par force* za kulisy.

Jota w jotę ta sama scena powtórzyła się między mną i panią naczelnikową, z tą tylko różnicą, że tu naczelnikowa grała rolę czarnego charakteru i uchwyciwszy mnie za rękę, ciągnęła za sobą w głąb garderoby.

Wyrwałem się, myśląc, że ta spokojna i poważna matrona, chce mnie oskalpować, gdy wtem na moje wybawienie wpadła jak *deus ex machina* pani pocztmistrzowa Bednarska i nie miała nic spieszniejszego jak zawołać:

— Szkanda! Szkanda! Józef i Putyfara... Cudne miejsce na *rendez-vous* i to pod bokiem pocziwego męża!.. O Sodomo! o Gomoro!

Ja, usłyszawszy ten piskliwy głosik, jednym susem wydobyłem się z garderoby, a dwie antagonistki językową rozpoczęły walkę.

Jak się skończyła ta smutna historia, nie wiem, to jednak zauważyłem, że przez cały czas trwania zabawy, obie panie groźnym na siebie spoglądały wzrokiem, a naczelnik kilka razy gorzką mi zrobił wymówkę.

Myśl, że byłem tak niewinny, jak szesnastoletnia panna, dodała mi otuchy do tego stopnia, że wysuszywszy jeszcze parę lampek „Sillery superieur“, puściłem się w tany.

Panien i mężatek było bez liku, mogłem więc swobodnie wybierać, a muszę na swoją pochwałę nadmienić, że gust mam dobry, i tylko twarz o prawdziwie klasycznym zakroju robi na mnie wrażenie.

Otóż pomiędzy zgromadzonemi damami, było jedno młode i śliczne dziewczątko, a jak się dowiedziałem, figlarne to stworzonko nosiło imię Mysi i było zaasekurowane w towarzystwie „Rossya“ na 5000 rubli.

Gdy więc rozpoczynano kotyljona, miałem niekłamaną ochotę zaangażować ową czarnooką rusałeczkę, jak na złość jednak uprzedził mnie przed tem jakiś dragon, niemożliwie wysoki, dziobaty i niesłuchanie impertynencki.

Tą razą ograniczyłem się tylko na przedstawieniu pannie Mysi, a otrzymawszy bardzo uprzejmą obietnicę, że następny taniec ze mną tańczyć raczy, zacząłem z należytą powagą i taktem, uczepiwszy się innej tancerki, przepisane wykonywać ewolucye.

Uważałem dobrze, że Mysia od czasu do czasu, przebiegając jak lotne zjawisko, znaczące na mnie rzucała spojrzenia.

Każde z nich zdało się mówić: „Ach! kiedyż z tobą tańczyć będę!“ Ja też wywijalem nogami, wedle mego własnego wynalazku, i to tak zapalczywie, że zwróciłem uwagę powszechną na moje niezwykajne zdolności.

Muszę przyznać, że i ów dragon (którego z całego serca nienawidziłem), pomimo, że był wysoki jak „Igła Kleopatry“, tańczył z ogromną werwą i swobodą.

Wreszcie ukończono kotyliona. Usiadły zasapane tancerki, kawalerja z udekorowanemi piersiami pokrzepiała w bufecie nadwątłone siły, na kanapach polokowane mamy, których bytność na balach jest co najmniej zbyteczną, zaczęły ożywioną prowadzić rozmowę; ja zaś, korzystając z ogólnego zamieszania, przysiadłem się do Mysi.

Było to dziewczątko młode, mowne i nad wiek rozwinięte.

Z rozmowy dowiedziałem się, że rodzice jej od niedawna bawią w tych stronach, że ona nikogo jeszcze nie zna i jest dopiero na pierwszym balu.

Potem zwierzyła mi się, że dla młodej panny jest

ogromnie żenującą rzeczą być *decollée*, niektórzy bowiem z panów są tak źle wychowani i patrzą w ten sposób, że skromna panna rumienić się musi.

Przyznawałem jej to wszystko, wtrącając tylko z lekka, że w ogóle wojskowi są pod tym względem wysoce niedelikatni, co ona wprawdzie przyznawała, ale swoją drogą, oile mnie się zdawało, nie mówiła tego z przekonania.

Gdy się tak bawimy, i ja westchnąwszy kilkakrotnie (bo mówiąc prawdę, żołądek mnie bolał), zaczynam zwracać rozmowę na serce; muzyka odezwała się za piecem, i aranżer zapowiedział kadryla.

Trzy pierwsze figury kontredansa tańczę trochę do brze, w czwartej tylko i piątej nieco się myślę, co do szóstej zaś, to puszczam zwykle tancerkę „solo“, niby łódkę bez wiosła, na wzburzone fale morza, a sam wyczekuję w cieniu, aż wszystkie obchody, te podawania rąk, to prawej to lewej, pojedyncze i podwójne się ukończą, tak było i tą razą.

Szczęśliwy, że już pary w ostatniej figurze powracają à place, wyszukałem zagubioną Mysię i chciałem się skierować do stojącej pod oleandrem ławki, gdy wtem prowadzący tańce, zapowiedział galopa.

Galopem miano zakończyć kadryla.

Zebrałem wszystkie siły i poleciwszy się Bogu, zacząłem sunąć. Czulem gorący oddech Mysi, a czarne jej oczy rzuciły błyskawice. W głowie mi się kręciło, namiętnym uściskiem dłoni jak termometrem chciałem jej wskazać stopień mego uczucia, w zapale deptałem wszystkich, lecz to niczem wobec tego, co się dalej stało. Gdy z moją ubóstwioną chwacko wywijam, ów impertynent dragon mnie potrąca, ja padam głową na dół, robię *salto mortale*, i zrywam mojej damie

dwupiętrowy kok, pełen kokard, kwiatów i motyli, bo za czasów mojej młodości noszono takie koki...

Nie uwierzcie państwo, co się potem działo. Ja skamieniały, stałem na środku sali, pod pajakiem, trzymając w ręce dwa funty włosów, muszek i różnych tajemnic niewieściach.

Mysia z głową o nadzwyczaj zmniejszonych rozmiarach, dostała spazmów, mamę napadły spazmy z dławieniem, papa spazmów nie dostał, lecz się wściękl i chciał mnie strzelać, ja więc, nie mając innego punktu wyjścia, oświadczyłem się.

Wszak panna była skompromitowaną, a honor nie pozwalał na co innego.

No i powiedzcie mi państwo, czy nie powinienem kląć tego dobroczynnego balu, zwłaszcza, że:

1) po zestawieniu bilansu i obrachowaniu wszystkich wydatków, a głównie wina, dopłacił komitet 20 — 25 rubli na głowę;

2) pani poczmistrzowa Bednarska rozpuściła o mnie i rzekomym moim stosunku z panią naczelnikową tak złą fałgę, że musiałem co prędzej przenosić się do innego powiatu;

3) raptowne spożycie tyłu naraz potraw, spowodowało mi nadzwyczaj nieprzyjemne... jakby to powiedzieć... cierpienia, jakby to powiedzieć... żołądka;

4) z Mysią się ostatecznie nie ożeniłem, gdyż natychmiast po tej scenie wróciła do domu, gdzie oddawszy się rozmyślanii i praktykom religijnym, o wyjściu za mąż i słyszeć nie chciała. Na całą okolicę słynęła z pobożności i dobrych uczynków, zwano ją: piękną pokutnicą.

Teraz wiecie państwo, dla czego m się nie ożenił?...



AKTOR^{*)}

Wiersz **Karola Hoffmana.**

Kogo los skazał na wieczną wzgardę,
Tłum czyje czoło opluwa harde,
Czyja twarz razi jak nocna zmora?...
Aktora.

Kogo łyzy dławia, gdy śmiać się każą,
Kogo szyderską przyjmuje twarzą
Zgraja próżniaków zgnilizną chora?...
Aktora.

*) Deklamację całego tego wiersza do końcowego ustępu, poprzedzonego gwiazdkami, powinna cechować gorycz, stopniowana umiejętnie. Ostatni zaś ustęp wypowiadać należy z zapalem i wiarą w wygłaszane słowa. Deklamacja ta nadaje się tylko do wypowiedzenia przez mężczyznę. Do podniesienia efektu tej deklamacji przyczynia się niemało ładna melodrama na instrumenta smyczkowe, kompozycji Franciszka Malinowskiego. Wrazie deklamowania przy akompaniamencie muzyki należy umiejętnie pauzować pomiędzy strofkami, które to pauzy wypełnią odpowiednie takty melodyi muzycznej. Wogóle urok deklamacji podnosi umiejętnie dobrany akompaniament fortepianowy lub skrzypcowy. Nie wszystkie jednak deklamacje nadają się do wygłaszania ich przy muzyce. Z podanych w tym zbiorze zaznaczam właściwą adnotacją takie, które lepiej się wydadzą bez akompaniamentu muzycznego.

(Przyp. Aut.)

Kto nie ma dachu, a często chleba,
Kto krwią zdobywa, co mu potrzeba,
Kto się plugawi, choć dusza czysta?...

Artysta.

Kto dzisiaj oklask, jutro świst słyszy,
Kto kona w nędzy, smutku i ciszy,
Kto się o jutro swoje wciąż trwoży?...
Aktorzy.

Kogo się wyprą bracia rodzeni,
Nad czym grobem chwast się zieleni,
Czyja ze smutku dusza wciąż chora?...
Aktora.

* * *

Gdy więc, pomimo tylu boleści,
Aktor swą sztukę jak lubą pieści,
Gdy się na cierpień poświęca tyle,
Jak się nie dziwić artyzmu sile?...

Wierzcie mi: postać to piękna, czysta —
Aktor-artysta.



Z ROZMOWY.

Dyalog wierszem przez Stanisława Grudzińskiego.)*

Osoby:

ON.

ONA.

Rzecz w mieście.

ONA *(po chwili milczenia:)*

Więc niechże pan co mówi...

ON.

Widzę, żeś dziś nudny...

Niestety! krok poprawy w tym razie tak trudny...

Tak trudno śmiać się twarzą, kiedy serce płacze,

Kiedy to serce boli...

*) Do wypowiedzenia na estradzie lub w salonie, albo też do wygłoszenia ze sceny. Rzecz tę wypowiada się tonem konwersacyi salonowej, bez szarży, przyczem słowa jej aż do ustępu: „Więc pan cierpisz naprawdę?” — nacechować należy lekką, dowcipną ironią i szyderstwem, resztę słów miarkowanym uczuciem, wreszcie wyrazy: „Dobra noc panu!” z całą śnieżką, aby słuchacz zrozumiał, że usłyszane widzenie sprawiło jej rozkosz, że i ona go kocha, ale na razie drażni się z nim i nie daje mu dokończyć wyznania (dlatego tylko, aby je znowu usłyszeć jutro... pojutrze... Słowa jego cechuje z początku smutek, potem gorycz, wątpliwość, dalej szczere uczucie, wreszcie widzenie szczęścia; wszystko musi być naturalne, nie afektowane.

(K. H.)

— 91 —

ONA.

Zkądże dziś rozpacz?

Prawdziwie nie pojmuję, co się z panem dzieje...

Taki humor dziwaczny...

ON.

Jak pora marcowa:

Niebo to się zachmurzy, to znów zajaśnieje,

A wszystko to zależy od promieni słońca.

Pani jesteś mem słońcem!

ONA.

Ach! to rzecz nie nowa!

W ten sposób byłam przecie całym firmamentem.

Wstydź się pan oklepanym takim komplementem

Obdarzać mnie w tej chwili!

ON.

Na rozkaz — się wstydzę,

Ale mówię na prawdę: sposobu nie widzę,

Jak mam zabawić panią... Chciałbym...

ONA.

Mów pan śmiało.

ON.

Chciałbym... gdyby się panią zabawić tem dało,
Chciałbym mówić ci długo i powiedzieć wiele,
Wypowiadać się szczerzej jak księdzu w kościele,
Wszystkie moje marzenia odkryć tu przed tobą,
A rozgrzeszenie twoje ze światem i z sobą
Pogodziłoby pewnie biednego grzesznika...
O pani! kiedy głos twój do serca przenika;
Kiedy uśmiech na pięknej zajaśnieje twarzy,
Taką natenczas wiarą w swe szczęście oddycha,

Że chciałbym paść ci do nóg (*czyni to*) i powiedzieć z cicha:
Pani! ja ciebie Kocham!...

ONA.

Dosyć, dosyć, panie!

Któż widział padać do nóg? Niechże pan powstanie;
Prawdziwie nie pojmuję, w jakim pan humorze;
Wszak rycerzem nie jesteś?...

ON (*wstając* :)

Don Kiszotem może? .

Tak! jestem nim — niestety! Jak widzę — z kolei
Do wszystkiego się przyznać jestem dzisiaj zdolny,
Lecz cóż mi pozostaje?...

ONA.

Szukać Dulcynei.

ON.

Wskaż mi pani, gdzie szukać?

ONA.

Ha! wybór dowolny!

Nic pan więcej nie powiesz?...

ON.

O, owszem, z ochotą:

„Kobieto! puchu marny!.. ty, wietrzna istoto!...”

ONA.

Czy mi pan chcesz przypomnieć „Dziady“ Mickiewicza?

ON.

Gdy się własnych słów niema, to się ich pożyczają.
Pani wszystkim moim słowom nie chcesz dawać wiary.

ONA.

Boś pan czasem za... młody...

ON.

A nigdy za stary?...

Czy pani wiesz, co znaczy taki stan człowieka,
Gdy cierpi, a darmo na współczucie czeka?
Gdy, gdziekolwiek się zwróci, wszędzie go powita
Nienawiść zatajona, niechęć źle ukryta...
Czy pani nie pojmujesz, jak srodze go boli,
Że nigdzie przyjaznego nie znajduje serca,
Że życie jednym pasmem snuje się niedoli,
A cały świat, jak jeden rani go szyderca?...
O, jeśli nawet wtedy kobieta zeń szydzi,
Lekceważąc ból jego i serdeczne rany,
Cóż dziwnego, że srogiem zwątpieniem złamany
W samych czarnych kolorach świat i ludzi widzi?...

ONA.

Więc pan cierpisz naprawdę? Daruj, żem szydziła,
Lecz cóż powodem cierpień?... nie znając choroby...

ON.

Zawiele o tem mówić!... Czyliś pani śniła
Kiedykolwiek o szczęściu?...

ONA.

I na cóż się przyda!

Po słodkim śnie przykrzejsze stokroć przebudzenie.
Świat się po nim smutniejszym jeszcze bardziej wyda,
Jeszcze grubsze wokół zalegną go cienie...
Ej! mówmy o czem innem!... Która to godzina?...

ON.

(*Scen.*)

W tej chwili jedenasta właśnie bić zaczyna—
Niewczesnym jestem gościem...

ONA.

Wszak jeszcze dość wcześnie,
Lecz jeśli pan odchodzisz, musisz przyrzec święcie,
Że opowiesz nazajutrz, co zobaczysz we śnie...

ON.

Wiem już!

ONA.

Jakto?...

ON.

Sen jeden ludzi mnie zawzięcie,
Ażebym się nazajutrz obudził boleśnie...

ONA.

Jakiż to sen? czy wolno?...

ON.

Na skrzydłach anioła
Spływa postać promienna i ręką swą białą
Z cichym szeptem miłości dotyka mi czoła,
I jak chmurkę rozwiewa z niego troskę całą...
A głos się jej rozplywa w akordach organu...
Na skroniach ma rozmaryn... mirt...

ONA (podając mu rękę:)

Dobranoc panu!...

(On całuje jej rękę, ciężko wzdycha i wychodzi.)

Rekwizyta (w razie przedstawienia na scenie):

Dywany, portjery, franki, serwety na stoły, 2 stoliki, meble
eleganckie, lampa stolowa paląca się, przykryta abażurem, sztuczne
kwiaty w kloszach, zegar stojący, figurki gipsowe, 2 dzwonki.

BORYS GODUNOW.*)

Obraz z dramatu Aleksandra Puszkina, przekład
z rosyjskiego w połowie Mirosława Dobrzańskiego,
w połowie Karola Hoffmana.

Osoby:

PIMEN. (Starzec z dużą białą brodą i długimi siwymi włosami.)

GRZEGORZ. (Gryszka Otrepjew, późniejszy Dymitr Samozwaniec.)

Rzecz w klasztorze.

(Scena przedstawia celę klasztorną. Przy stole siedzi, pisząc w wielkiej
księdze, starzec Pimen. Na tapczanie śpi Grzegorz.)

PIMEN.

Jeszcze jedna opowieść, ta ostatnia będzie
I rocznik mój skończony, spełniona już święta
Powinność, z woli Boga przezemnie przyjęta,
Który mnie nie napróżno w wybranych swych rządzie
Postawił, czyniąc świadkiem lat i zdarzeń tyła.
Tak, niejedna przemknęła przed mem okiem chwila...
Kiedyś mnich jakiś ciekaw tę pracę gorliwą,
Boziemienną wynajdzie; jak ja dziś, zaświeci
Lampę i powieść przepisze dla dzieci.

*) Do podniesienia efektu tego obrazu znakomicie przy-
czynić się może melodrama, grana pianissimo na instrumentach
smyczkowych. Motywem melodramy winna być jakaś melodia
w rodzaju kościelnej pieśni lub hymnu. (K. H.)

I zwiedzą się potomni o losach swej ziemi,
O wielkości swych przodków, ich potęgę, sławie,
A gdy znajdą błąd jaki, modlić się za niemi
Będą, by Bóg ich grzechy odpuścił łaskawie.

(p. c.)

Co za rozkosz! na starość odżyłem na nowo.
Cała ubiegła przeszłość z swą szatą godową
Dawnoż to, jak się piętrząc, swem życiem brzemieną,
Przepływała jak morze, jak lawa płomienna,
A teraz śpi spokojna, milcząca — przedemną...
Mało kogo już pomnę, w oczach mi tak ciemno...
Dźwięki jakieś zaledwo dochodzą mnie zdala...
Przeminęłaś na wieki, o przeszłości bratnia!
Lecz kończmy, dzień już blizki, lampa się dopala,
Jeszcze jedna opowieść, wszak to już ostatnia!...

GRZEGORZ (*budząc się* :)

Co to jest? Wciąż sen jeden... Tak! już po raz trzeci —
Przeklęty sen! Tymczasem starzec ciągle świeci
Lampę i pisze, siedząc jak posąg na straży...
Rzecz dziwna, że sen nigdy powiek mu nie skleci...
Jakże lubię ten spokój w rysach jego twarzy,
Gdy myślą zatopiony w zbiegłych lat kolei
Wiedzie dalej swój rocznik... Lecz jakież prawdziwy —
Dumam nieraz — być może jego myśli wątek?
Co pisze: sławę kraju i jego początek?
Czyli też Nowogrodzki owy wiec burzliwy?
Czy o okropnych chwilach Tatarskiej niewoli?
Chciałbym zgadnąć — napróżno — myśl moja zbłąkana
W chaosie tych domysłów, darmo się mozoli.

Ni w jego jasnem oku, ni na wzniosłem czole,
Nie wyczytasz, co w duszy — rozkosze czy bole.
Zawsze jednako cichy, jednako wspaniały,
Dumny jak ów djak stary, w służbie osiwiąły
I jednako patrzący, bez gniewu, łagodnie,
Na czystych jak występnych, na cnoty, jak zbrodnie.
(*podchodzi do niego.*)

PIMEN.

Ocknąłeś się już, bracie?

GRZEGORZ.

Czcigodny, sławiony

Ojcie, błogosław mi!...

PIMEN.

Niech Bóg ci udzieli opieki,

Niechaj cię błogosławi teraz i na wieki!...

GRZEGORZ.

Tys — widzę — pisał wciąż i sen cię nie zmorzył,
A mój mąciło piekło wciąż i wróg mnie trwożył.
Śniłem, że miałem się w górę, przez schody wygięte
Wkrąg wszedłem gdzieś aż na wieżę, gdym stanął, z jej szczytu
Moskwa, niby mrowisko — więc jak sęp z błękitu
Spojrzę w dół, a tam tłumy narodu przekłete,
Śmiejąc się, patrzą na mnie brudne, błotne...
I wstyd mnie się zrobiło i strach mną owładał,
W głowie uczułem zawrót i gdym na dół spadał,
Zbudziłem się... Okropne tak a już trzykrotne
Widzenie — cóż — nie dziwne?

PIMEN.

Młoda krew się burzy,
Powściąga ją modlitwą, postem. Pan, co mierzy

Każdemu wedle zasług, da ci sen spokojny,
 Ot i ja — choć-em stary, kiedy mnie sen znuży
 I poniewolnie zasnę bez zwykłych pacierzy,
 Wnet grzeszny śnię biesiady huczne, krwawe wojny,
 Potyczki, te ułudne młodości rozkosze.

GRZEGORZ.

Jakżeś wesoło spędził swe lata junosze:
 Tyś bił się pod Kazaniem, ty zastępy Litwy
 Odpierałeś pod Szujskim, tyś na bitwę z bitwy,
 Z boju w bój biegł, dwór widział i przepych Iwana...
 Szczęśliwy! a ja z dziecka ot — sobą nie rządzę,
 Nędzny mnich po klasztornych celach jeno błądzę,
 Jak nietoperz w noc ciemną. Czemuż mnie nie dana
 Moc wpaść w bitwę, zbić wroga, nacieszyć się spolem
 Z innymi i do uczty sięść za Carskim stołem?!
 Zdążyłbym i ja przecie, na swe stare lata,
 Jak ty, odepchnąć, wzgardzić marnościami świata,
 Wykonać ślub zakonny i gdzie klasztor cichy
 Zamknąwszy się, odtąd żyć pomiędzy mnichy.

(N. D.)

PIMEN.

Nie żałuj, bracie, żeś świat ów rzucił wcześniej,
 Żeś nie znał pokus, co zwodzą nas, jak we śnie.
 Wierz słowom starca: choć ludzą nas zdaleka
 Sława, zaszczyty, miłość, która ofiar czeka,
 Lec z pasma słodkich chwil długiego już żywota
 Najmilsze mi, gdy w wszedł w klasztorne wrota.
 Tu spokój jest, tu cisza wielka, błoga...
 O nią mocarze nieraz daremnie proszą Boga,
 A zwłaszcza władca nasz! Za ciężkie widać winy
 Stwórcę pokarał nas ojczyzną tej krainy.

Królobójca — panem! O wstydzie nad wstydami!
 Karta dziejów naszych taką się hańbą plami!...

GRZEGORZ.

Dawnom, czcigodny ojeze, chciał zadać ci pytanie,
 Co o śmierci Dymitra wyznać jesteś w stanie,
 Mówią, żeś był blisko przy biednym Carewiczu,
 Bawiąc w czas jego zgonu w nieszczęsnym Ugliczu?...

PIMEN.

Tak! pamiętam — niestety! to dzieło szkaradne,
 Na wspomnienie którego ledwo sobą władnę.
 Przybyłem do Uglicza w poselstwie już w nocy...
 Nad ranem słyszę dzwony, wołania pomocy,
 Gwar, tumult... Znalazłszy się więc na ulicy,
 W ślad za innymi biegnę do dworca Carycy.
 Patrząc: a tu Dymitra trup leży skrwawiony,
 Nad nim Caryca — matka w boleści szalonej,
 A rozwścieczony naród szarpie w różne strony
 Niecną mamkę chłopięcia, co go dała w szpony.
 Wtem Judasz—Bitiagowski, jak trup zimny, błądy,
 Z piętnem mordy wśród całej tej stanął gromady.
 — „Oto, oto złoczyńca!“ zawył naród chórem
 I w sekundę — już po nim! A w ślad za tym torem,
 Trzech siepaczy wykryto, choć czyn kryły mroki.
 Przywiedziono ich wszystkich przed te ciepłe zwłoki,
 Które — o cudzie! drgnęły na widok zbrodniarzy.
 — „Wyznajcie prawdę!“ — młodzi wykrzykną i starzy...
 I pod grozą śmiertelną, co nad nimi zwisa,
 Siepacze swego wodza wydali — Borysa!...

GRZEGORZ.

A wieleż wtedy lat Carewicz miał stracony?...

PIMEN.

Miał siedem latek... Czas pędzi, jak szalony,
Przeszło odtąd dziesięć, nie! lat dwanaście chyba,
Byłby twym rówieśnikiem i dzisiaj zdrów, jak ryba,
Panowałby nad nami... Lecz Pan Bóg chciał inaczej.
Tą opowieścią smutną zakończę trud prostaczy.
Tobie, mój młody bracie, powierzam moją księgę,
Zapisuj w nią prawdziwie i błędy i potęgę,
Czas wojny i pokoju i stanowione prawa,
I świętych pańskich dzieje... Nauka ztąd i sława!...

(Podczas słów Pimena, scenę oblewa blask wschodzącego słońca i daje się słyszeć dzwon cerkiewny.)

A mnie już pora spocząć po trudach tych żywota,
Pora zagasnąć lampie, gdy jutrznia wstaje złota!
Bądź zdrów, mój młody bracie, już dzwonią na pacierze,
Niech cię Najwyższy wspiera i szczęście da w ofierze!

(Wychodzi.)

GRZEGORZ *(po pauzie:)*

Borysie Carze! Przed tobą drży kraj cały,
Niczyje usta dotąd zapytać cię nie śmiały
O losie twojej biednej, nieszczęsnej ofiary.
A tu — w ponurej celi — jeden mnich ten stary
Straszną skargę pisze na ciebie w tej księdze
I nie ujdiesz ty kary niebieskiej potędze,
Jak nie unikniesz sądu surowego braci,
A twe imię potomność ohydą zapłaci!...

(K. H.)

Rekwizyta:

Stół, 2 dywany, siennik, lampka szklanna z piaskiem i kawałkiem świeczki, duży kałamarz, pióro gęsie, duża księga, 2 krzyże na piersi na łańcuchach, fotel duży, miednica, ogień bengalski, 2 dzwonki.

AMARUS.*

Legenda klasztorna przez Jarosława Vrchlickiego.

(przełożył z czeskiego Bronisław Grabowski.)

W klasztorze żył od dziecka, między mnichy,
Nie wiedząc, jaki miał ród, jakie miano;
Z grzechu był zrodzon, Amarem go zwano.
Wysoki, blady, zadumany, cichy,
Wciąż wzrok w dół spuszczał, jakby nieznanego
Czegoś po ziemi szukał. Lata biegą.
Wtem raz, gdy księżyc srebrzył celi kraty,
Tak prawił Bogu: „za mój żywot struty,
Za umartwienie, męki, łzy pokuty,
Jednej od Ciebie upraszam zapłaty,
Powiedz mi, kiedy umrę.“ Jak myśl chyża,
Nadleciał anioł, *szepcząc***): „Nocy onej
Zakończysz żywot, kiedy do zwieszanej
Po nad ołtarzem lampy u stóp krzyża

*) Deklamację należy traktować lirycznie; z początku z całym spokojem i pokorą, od spotkania mnicha z młodą parą z przejmującym a tłumionym bólem, przyczem opis pogodnej natury wiosennej przeprowadzić wypada jako kontrast z ponurym nastrojem ducha Amarusa. Zakończenie wypowiedzieć spokojnie, ale z pewnym smutkiem.

**) Wyraz ten określa sposób wygłaszania następnych słów, włożonych w usta anioła.

(K. H.)

Zapomnisz dolać oleju.“ Miesiące
 I lata biegły; Amarus żył smutny,
 A gdy lał olej w lampy gorejące
 Łono, tak prawił: „Teraz mój pokutny
 Podsycam żywot“ — i śmiał się boleśnie.
 Razu pewnego, wiosennego rana
 Przyszedł lać olej... wtem, w świątyni Pana
 W pomroku szarym ujrzał, niby we śnie,
 Parę, pokleknął u stóp Matki Boga.
 Stał za nimi cicho, boleść sroga
 Rwała mu piersi. Gdy modły skończyli,
 Wyszli, za nimi szedł Amarus w ślady.
 Dziwna tęsknota drgała w twarzy bladej.
 Stał na cmentarzu długo; w owej chwili,
 Bzu i czeremchy upojony wonią,
 Słyszał śpiew ptasząt, patrzył, jak się gonią
 Wśród jabłoni kwiatów dwa motyle.
 Świat w dziwnym jaśniał blasku; na mogile,
 Okrytej darniem, gdzie bez *) wonne kwiaty
 Sypał na włosy im, na lica, szaty,
 Siedziała para, uściskiem złączona;
 On szczęsny głowę tulił do jej łona,
 Ptak w górze nucił im śpiew, na ich włosy
 Motyle siadły. Amarus wspomina
 Swą matkę, której ostatnia godzina
 Była dla niego początkiem żywota,
 Co jest goryczą jedną. Krople rosy

*) Oddzielić wyrazy tak, aby nie wypadło „bezwonne“
 kwiaty, co by zmieniło sens.

Błyszczą po trawie, pachnie bez, ptak śpiewa,
 Mnich wzrok zatapia w słoneczną toń złota,
 Śpiew uchem chwyta — dzisiaj nie dolewa
 Oleju w lampę, co płonęła stale...

Nazajutrz bracia — jako w rytuale
 Kazano — przyszli i ujrzą zdumieni
 Zagasłą lampę. Amara nie było.

Tam na cmentarzu, pod matki mogiłą,
 Leżał bez życia, z twarzą ku zieleni
 Zwróconą — wonny kwiat nań sypią drzewa,
 Czeremchy pachną i ptak słodko śpiewa...

R A K I.

(„*Les ecrevisses*“)

MONOLOG, DEKLAMOWANY PRZEZ C. COQUELIN'A.

Z Jakuba Normand

tlómaczony przez Hajołę.*)

Trzydzieści dziewięć latek,
Kawaler, zdrów, rad z siebie,
Jam spokój i dostatek
Miał na mych ojców glebie.
I prostych życia szlaków
Pilnując w mym kąciku,
Nie jadłem nigdy raków
W oddzielnym saloniku.

Wierny rodzinnej stronie,
Stołecznym gardząc szaleń,
W Paryżu — Babylonie
Ni razu być nie chciałem.
Mnie starczył szczegół taki
O grzechów tym zbiorniku,
Że się tam jada raki
W oddzielnym saloniku.

*) Przedruk z „Echa muzycznego i teatralnego“.

Wrazie wypowiedzenia powyższego monologu na scenie, należy stosownie ucharakteryzować się i ubrać (50 letni mężczyzna, podszarzały, w wytartym ubraniu).

Znaliście Weronisję?

No, wiecie — moją ciocię...

Otóż dostały mi się

W sukcesyi po niej krocie —

Hm! spadek nie ubliża,

Lecz dużo z tem kłopotów...

Toż jechać do Paryża

Musiałem wraz być gotów.

Dał mi on się we znaki!...

Nie cierpię zgiełku, krzyku...

Ale... wspomniałem raki

W oddzielnym saloniku.

Skończyłem interesa,

W niemałym czoła pocie

I Paryż śląc do biesa,

Zamyślam o powrocie.

Więc żywo! saki — paki!

Wtem — drgnąłem aż do szpiku!

Ach!... tylko raz zjeść raki

W oddzielnym saloniku!

Miał to być dzień ostatni...

Najlepszej pełen wiary,

Do słynnej jadłodajni

Zajeżdżam na bulwary;

Wnet mnie opadły fraki

Garsonów, pełnych szyku...

Ja każę dawać raki

W oddzielnym saloniku!

Dano nam cud komnatkę!
 Nam mówię... pojmujecie,
 Że się o taką gratkę
 Samemu nie dba przecie.
 Ach! buziak nad buziaki!
 O modrych ów wabiku,
 Chrupał tam ze mną raki
 W oddzielnym saloniku.

Przy tej wysłance piekła
 Czułem się jakby w niebie...
 — „Jeśli mnie kochasz“ — rzekła —
 „Nie jedź na wieś do siebie.“
 Cóż powiem? Już los taki!
 Zadała mi lubczyku...
 Nazajutrz... znowu raki
 W oddzielnym saloniku.

I uciech fala rwąca
 Miota mną bez tchu prawie...
 Dzień, tydzień, półmiesiąca,
 Ja wciąż w Paryżu bawię.
 I w paszczę wilkołaków
 Wpadam po żądz przesmyku...
 Ciągłe mi trzeba raków,
 W oddzielnym saloniku.

Raz po raz inne buzie
 Dzieliły mą biesiadę,
 Karolcie, Franie, Zuzie,
 Różowe, białe, śniade...

Lecz program trwał jednaki
 Wśród odmian tych bez liku...
 Zawsze to były raki,
 W oddzielnym saloniku.

Bo też i te kobiety!...
 Co wdzięku! co uroku!
 A jakie toalety!
 A ile blasku w oku!
 Ty sam-byś dał drapaką,
 Antoni pustelniku!
 Widząc je... z łapką raka,
 W oddzielnym saloniku.

Lecz rok nie minął cały,
 Gdym spostrzegł, o boleści,
 Że moje kapitały
 Prysnęły gdzieś bez wieści.
 Ledwo, że się grosz jaki
 Tłukł w chudym mym trzosiku...
 Tak wszystko zjadły raki,
 W oddzielnym saloniku.

Zostałem więc na sucho!
 Srodze tem nauczony,
 I zdjęty próżną skrucą,
 Wróciłem w moje strony.
 Dzisiaj — za niuch tabaki
 Służę przy komorniku...
 Nie chodźcie wy na raki,
 W oddzielnym saloniku!

PO JARMARKU. *)

Monodram ludowy przez Bron. Sycińskiego.



Osoba:

KUBA BAJOREK, włoścjanin, muzyk wiejski.

Rzecz dzieje się w lesie.

(Kuba wchodzi ze skrzypcami, pijany, zatrzymuje się w głębi w pół sceny, wołając, jak gdyby za odchodzącą:)

Kumo!... Kumo!... ady cekojcie... ino wom zagrom!... Głupio baba, ucieko... eh... zeby tak ją dogunić... ale jakże tu gunić, kiej nozyska psiopary ani weź nie chcą przebierać, jeszcze-bym się kaj wywaluł i skrzypice se potłuk... Niech ją tam wciurności, niech se leci kiej głupio, jo się ta ostane na trochę i odpocnę se kaj na pieńku, bo to jesce sztuk drogi do dumu, a do tegom sfatygowany okrutecznie (*siada*). Głupio baba, sła od samygo miasta razem ze mną, bez całą drogę i bez wieś i bez pole i bez.. bez coś wa to śli?... głupio... Dopiro jak bez las... to una w nogi... ale bez co, kiej num się calusieńką drogę dobrze godało? Jakie te baby głupie— to strach; jobym ta od zodnej baby nigdy nie uciekoł, zeby

*) Nadający się do wygłoszenia przez mężczyznę, umiejącego choć trochę zagrać na skrzypcach i posiadającego gwarę ludową.

(K. H.)

mię nie wiem jak przyparła. Moja na ten przykład powiada, ze jo jej się boję, a to nie prawda; bo zebym się jej boł, to bym się dzisioj nie upiuł i za projscoka *) piniądze przynius do dumu, a jo nie, — wydołem wsyćko co do grosa... Una mie na złość, jo jej na złość!... Jakeswa się wzieni wadzić o Maćkowe chrzciny, to aze mi skrzypice potłukła, zeby postawić na swoim: „Nie pódzies“ — powiada — „grać do Maćków, bo jo ci nie kożę,“ a jo powiadam: „pódę“ — „Nie pódzies!“ — „Pódę, bom wzięń zadatek“. Una, powiada: „Nie pódzies“, a jo powiadam: „pódę“ — i zaceniśwa się wadzić. Jo dawoj za skrzypice ze ściany i ona łap za skrzypice; jo do siebie, una do siebie, jakeswa się wzieni tarmosić, tak mie syjka w gorści ostała, a una z kadłubem brzdęk o ziemię, ozem ją musiał podnosić, tak se pochrzyp **) stłukła. A to wsyćko bez to, że jej Maćkowo w kumy nie prosiłi. A cóż to mo do tygo, na tom jest muzykont, zebym posed grać, kiej mię kto namówi i do zadatek, ale co to z babą gadać, to rychtyk jak dmuchać na stóg siana, zeby się przewróciół. Zajądło baba jesce za to, zem ją podnius, to mi do rešty kadłub od skrzypic o łeb potłukła. Juzem się wtedy na dobre zgniwoł, i myślę se: cekoj, jo ci nic nie powiem, ale obocys! Posedem na chsciny, ale ino tak, bez kapeli. Opowiedziołem Maćkom wsyćko jak było, scyrną prawdę. Wzięni mię Maćkowie pociesać, ale jo nijak nie mógem się upamiętać od złości, i takem się przecie zgryz, ze az mnie rano do domu mało żywego przynieśli. A bez cołe dwa dni gębym nie roździawił do mojej, niech wi, co to chłop. Una pocuła, ze tak ze mną nie mozno, alem jo się zawzion i myślę se: jesce mało; więc jak przysło dzisioj, mieliśwa oboje iść na jarmark z projscokiem; zacęna się

*) Prosiaka. **) Krzyż.

i una wybierać, ale ją coś w krzyzach zabolalo, pewnikiem od tego upadnięcio na pochrzyp, więc mówię do niej: ostań, jo som pódę... I tak byś prózno go gorka na plecach nie przyniesła, to po co się będzies wlekła; jo som sprzedać potrafię. Baba znowu chciała postawić na swoim, pocęła się wadzić, ze i una pódzie, ale ją znów coś w krzyzach strzyknęno i ostała w dumu. Myślę se: kiejs tako sprzycno, to jo ci raz zrobie śpasa i tak se zagrom, jak som będę chcioł. Otóz jak mi się ino udało projscoka sprzedać, tak zaraz na kuraż wypilem se półkwaterek na jedną nogę i półkwaterek na drugą, zeby nie kuleć. Całkiem mi się w głowie rozjaśniło... i posedem do Chimcia targować skrzypice. Wybrałem se do ręki i pytom, co za nie. Chcioł 32 zł. zrazu, ale jakem zyda wzion walić po łapie a dobijać z całej mocy, tak opuscoł, opuscoł i oddoł za 22 zł. przez dziesiątki. A worte są te pieniądze: same struny licyć po dziesiątce — za trzy — to już momy złoty, bas piętnoście grosy, to 45; podstawek dziesiątkę, to pędziesiąt i pięć, a gryf, a kołeczki, a smyk... tak, że to wszycko obliczyć — to skrzypice prawie nic nie worte... Zeby po dwa złote co niedziela, to za tydzień wszykie pieniądze się wrócą i skrzypice darmo. A jaki mają brzdęk... o! skoda, ze nie mam zywicy, tobym zaroz spróbował... a, prawda, mom kajsik w kiesonce. (*szuka*) O, jest. (*smaruje smyk*) Ej, żeby to tak mozno zagrać, coby wszycko rade nie rade tańcować musiało na kozdy roz, toby dopiro była uciecha! Rzuciłbym babę i posed se w świat, kaj by mię tylko ocy poniosły. Mój Boze, jako by to była sasfakcyjo tak se chodzieć po duzych miastach i upatrywać wszycko złe i zaroz zagrać. Wlozbym se na ten przykłod kaj do cukierni, upatrzuł jak duzo panów se jedzą, piją, cytają calusienki dzień nie nie robiący, jakbym se tak zased, jakbym im wzię-

grać, jakbym im wzięć grać, jakby to wszycko zaceno tańcować, to az by im się wszycka polityka ze łba wytrzęsła. I pótbym nie przestawał, azby mi się wykupili... Jakby się kaj kłócili, albo bili, tobym zaroz groł co duchu, azby się musieli wykupić i pogodzić, dopirobym przestał... Jo powiadom, ze muzykantowi to zawdy dobrze, bo jak zacnie groć, to choć kto nie chce, to musi słuchać. Zodne wesele, zodne nic, nie obejdzie się przez muzykanta. A to nie tylo ludzie, ale i bydło lubi muzykę; jakem krowy pasoł, jesce chłopokiem będący, to ile razy wzięnem przygrywać, to mi się zaroz krowy lepiej pasły, a scególniej jedna jałówka corno, zawdy słuchała, ogonkiem dyndający. (*Śpiewa na nutę Kujawiaka, akompaniując sobie na skrzypcach* :) *)

Paśla krówkę dziewczyna

Po zielonej dąbrowie;

Trącała ją lescyna

Orzechami po głowie. } *bis.*

Kiedy rwała orzechy,

Kajś się krówka podziała.

Miała wracać do strzechy,

Wtem myśliwca spotkała. } *bis.*

Mówi: „nie płac, dziewczyno,

Krówka u mnie w oborze;

Dobre jadło i wino

Jest tyz w mojej komorze.“ } *bis.*

Dziewczyna się wzdragala,

Ale krówki zol stracić,

*) Nuty do tej piosenki podane zostaną wraz z innymi przy końcu całej seryi wydawnictwa. (K. H.)

Wreście rąkę podała }
Chcąc mu za trud zapłacić. } *bis.*

I zginęła dziewczyna
Kajś w zielonej dąbrowie.
Nie trąco ją lęcyna }
Orzechami po głowie. } *bis.*

Ej, żeby moja tak słysała, że jo se tu tak wyśpiewy-
wom, i jesce o dziewczynie, toby dopiro skokała ze złości.
Okrutecznie sworliwo baba, chocioz mię kocho jak mozo
najlepiej. Jak tylko będę właził do chałupy, to jej zaroz
zagrom takigo. (*Śpiewa, akompaniując sobie:*)

Da na bok, babo, na bok,
Da kieć z jarmarku idę,
Da przepiulem pieniądze, }
Da będzieś miała bidę! } *bis.*

Ale trza już iść do domu, bo jakbym tu zanočuwał,
to by mię jesce wilcy zjedli i cało wieś by nimiała muzy-
konta, a tu się za tydzień wesiele we wsi rychtuje. Wiem,
co zrobię, będę se groł bez calusieńki las, to wsycich wil-
ków wystrasę i zoden mi się nie cepi (*przygrywając, od-
chodzi*).

Rekwizyta: Pieniek, skrzypce, kalafonia, dzwonek.

CZARODZIEJSKA LUTNIA.

Wiersz **Teodozjusza Krzywickiego.** *)

Umarł poeta, na jego grobie
Zakwitnął laur, cyprysy ciemne,
A młodzi bracia chodzą w żałobie,
Lecz żal ich próżny i lży daremne;
Już się umarli więcej nie zbudzi
I nie powróci na świat do ludzi.

Jeden, przechodząc, rzekł: „Ja postawię
Krzyż na tym grobie, z złota wykuty,
Tem umarłego najpewniej zbawię
I od czyszcowej zwolnię pokuty.
Krzyż go strzedz będzie, on go osłoni
I od szatańskich sideł ochroni.“

Drugi rzekł: „Napis skreślę na grobie,
W posągu jego przechowam rysy
I cudny wieniec z lauru zrobię,
Tu go zawieszę między cyprysy,
I świetną stypę sprawię dla gości,
I tem dowiodę mojej miłości.“

*) Skrócony dla uniknienia monotoności. Deklamację trak-
tować należy lirycznie, ze spokojem, godnością i uczuciem, ale bez
pathosu. Ostatnią zwrotkę wypowiada się proroczym tonem.

(K. H.)

Aż trzeci przyszedł i, milcząc długo, *)
 Ku niebu smutne oblicze zwrócił,
 I łzy po twarzy spłynęły strugą,
 I garstkę ziemi ojczystej rzucił.
 Potem, odchodząc, westchnąwszy smutnie,
 Nad grobem wieszczu zawiesił lutnię.

I długo cisza była na grobie,
 Tylko żałobne cyprysy wieją,
 A w nocy nieszczęść i w dni żałobie
 Żadna już piosnka nie brzmi nadzieją.
 Wszystko umarło, wszystko przewiało,
 Jedno wspomnienie tylko zostało.

Ale duch wieszczu, jak stróż ludzkości,
 Rozkładał nad nią skrzydła strażnicze
 I, do braterskiej nęcąc miłości,
 Wlał w serca uczuć technienia dziewicze,
 Święte, najczystsze i najgorętsze,
 To z wszystkich uczuć — czucie najświętsze.

A lutnia, pewno zaczarowana,
 Jakby w niej dusza wieszczu mieszkała,
 Wciąż sama jęczy, z nocy do rana,
 Jak wpięć za życia wieszczu jęczała;
 I płacze smutno, a potem z cicha,
 Niby jak matka, na grobie wzdycha.

*) Tę strofkę uacchowac całą jej rzewną począ, aby odbiła
 kontrastem od dwóch poprzednich, gdzie pospolici ludzie pospo-
 licie chcą uczcić zmarłego poetę.

To raz w niej słyhać, jak spazm niewieści,
 To płacze sierot i drobnych dzieł,
 To znowu okrzyk srogiej boleści,
 Jęk męczenników i płacze matek.
 Aż wszystko w jeden akord się złączy
 I, jak zaczęła, piosnka się skończy.

I cicho — cicho — a jęk tłumiony
 Płynie po rosie, leci w niebiosy,
 Tysiączne znowu budzą się tony,
 Tysiączne pieśni, tysiączne głosy.
 To okrzyk mężów, to dźwięki stali,
 Ten odgłos płynie ku nim po fali.

A w koło krzyża kupią się ludzie,
 Znajoma piosnka znowu zabrzmiała.
 To cud! umarły powstał! O cudzie!
 Czyjażby ręka tę piosnkę grała?
 Biegną i patrzą, ale nikt nie wie,
 Że lutnia wieszczu wisi na drzewie.

I znów wieszcz-upiór w żywej postaci
 Zstępuje do nich, piosnkę im dzwoni
 I do jedności zachęca braci.
 Z krzyżem, z cierniowym wieńcem na skroni,
 Przemawia do nich słowy świętymi
 I swe roztacza skrzydła nad niemi.

Potem, jak anioł, w niebiosu bieży,
 Znowu zawiesza lutnię zaklętą,
 I budzi zapal w sercach młodzieży,

I wlewa miłość w duszę ich świętą,
I krzyżem zbroi żelaznym dłonie,
I wieniec z cierni kładzie na skronie.

Już się rozpierzechło grono słuchaczy,
Nikt w cud nie wierzy, lud z wiary szydzi,
Każdy rozumem wszystko tłumaczy
I tak tłumaczy, jak okiem widzi.
I nikt nie powie, że wieszcza dusza,
Lecz, że wiatr struny lutni porusza.

I odkąd pojąć nie mogą cudu,
Piosnka zwyczajna już ich nie pęci;
Została tylko w wspomnieniach ludu,
Została tylko w dzieci pamięci.
Lecz dzieci rosną i lud wciąż wierzy,
Że duch poety znowu przybieży.

I, jak przed laty, zadzwoni w struny,
A okrzyk szczęścia wzleci w niebiosy,
Tysiączne dźwięki, tysiączne tony,
Jak dziś żałobne rozpaczy głosy,
I że po długich cierpień kolei
Jeszcze zadźwięczy nuta nadziei.



Cyganie.

Fragment dramatyczny w 3-ch obrazach, z poematu **Al. Puszkina**,
tłumaczony przez *Mierosława Dobrzańskiego*, uscenizowany przez
Karola Hoffmana. *)

Osoby:

GAŁDASZ, stary cygan.

ZEMFIRA, jego córka.

ALEKO.

MŁODY CYGAN.

CYGANIE.

Rzecz dzieje się w stepach Bessarabskich.

OBRAZ I.

(Wnętrze szatry cygańskiej, tapczan.)

Scena I.

STARY GAŁDASZ, ZEMFIRA i ALEKO *(śpiący na tapczanie).*

ZEMFIRA *(zrywa się z siedzenia,*

*) Piękność poematu Puszkina, doskonale oddana w wierszowanym i pełnym wdzięku przekładzie p. M. D., skłoniła mnie do uscenizowania głównego motywu „Cyganów” w 3-ch krótkich obrazach. Dla wywarcia odpowiedniego wrażenia, obrazy muszą następować po sobie natychmiastowo, a całość fragmentu trwać krótko jak chwile nocy letniej. Do uzupełnienia efektu, konieczne są świetne dekoracje i staranna wystawa.

(K. H.)

odsuwa zastonę szatry, stoi chwilę po za nią, p. c. wraca, spogląda na Aleka, wreszcie mówi:)

Noc. Wkoło cisza i blask miesiąca
Upiększa niebios strop lazuruowy.
Ojcze! ja nie wiem, czemu tak drżąca?...
Patrz na Aleka, jak on się męczy,
Jak przez sen strasznie szlocha i jęczy.

GAŁDASZ.

Ani go dotknij — spokój grobowy!...
Słyszałem, pomnę takie podanie:
Gdy w porze, kiedy północ nastaje,
Usłyszysz nagle śpiącego łkanie,
Snać duch rodzinny spać mu nie daje.
Przed świtem znika. Siądź tu koło mnie.

ALEKO (*przez sen :*)

Zemfiro!...

ZEMFIRA.

Ojcze!... on mówi do mnie,
Szepcze: Zemfiro!...

GAŁDASZ.

Nawet i we śnie
Tyś jemu droższa nad wszystko w świecie!...

ZEMFIRA.

Dość tego jarzma, co pierś mi gniecie!
O! tak mi jakoś tęskno, boleśnie,
Że chcę... Lecz cicho! zemsta nie drżmie...
Słyszysz go, czyje wymawia imię?

GAŁDASZ.

Czyż to imię?

ZEMFIRA.

Słyszysz ten głuchy
Jęk i zgrzyt zębów, aż strach mnie bierze!
Ja go obudzę.

GAŁDASZ.

Niech cię Bóg strzeże!
Nie czyn na próżno, co nie w twej mocy:
Jak przyszły, same odejdą duchy.

ZEMFIRA.

Zda się odwrócił...
Patrz, ojcze, wstaje, już się ocucił.

ALEKO (*wstając :*)

Gdzieżeś to była?

ZEMFIRA.

Z ojcem siedziałam:
Lecz straszny ciebie sen musiał dręczyć,
Boś nie przestawał płakać i jęczyć?
A takeś ciągle zgrzytał zębami
I wołał na mnie, że cała drżałam.

ALEKO.

Bo śniło mi się, że między nami
Stał ktoś... Ach, straszne, straszne obrazy!...

ZEMFIRA.

Sen, mówią mara, sen — przeniewierca,
Miałbyś mu wierzyć?... powiedz mi szczerze!

ALEKO.

O nie! ja dzisiaj w nic już nie wierzę:
Ni w sny, ni w słodkich zakłęg wyrazy,
Ni nawet w czystość twojego serca!

ZEMFIRA.

(*d. s.*) Czyżby już wiedział?... Nie! próżne trwogi!...
 (*głos.*) Idę Borahy wyglądać z drogi,
 Wkrótce powrócę... (*wychodzi.*)

Scena II.

ALEKO i GAŁDASZ.

GAŁDASZ (*po pauzie:*)

Zaczem tak wzdychasz, szaleńcze młody?
 I bezustannie ły pijesz własne?...
 Tu ludzie wolni, tu niebo jasne,
 Tu krasawice słynne z urody;
 Nie płacz więc; żal swój ukój choć trocha!

ALEKO.

Mój ojczel! ona mnie już nie kocha!

GAŁDASZ.

Pociesz się, bracie: błahemi fraszki
 Zajętej myśli ból twój nie wzruszy,
 Ty kochasz całej potęgą duszy,
 Serce kobiety zaś dla igraszki.
 Spójrz na księżyc w niebios przestrzeni,
 Jak wszędzie równe światło rozdziela?
 Ledwie że blaskiem swym opromieni
 Samotny obłok, wnet idzie dalej,
 Okiem swem inne już rozwesela...
 I któż go wstrzyma w owej pogoni,
 Swobodzie jego metę zakreśli?...
 Któż z nas kapryśnej dziewczęcia myśli
 Roić, a sercu kochać zabroni?
 Pociesz się, bracie!

ALEKO.

Jak mnie kochała! ..

Nieraz, w pustynnej ciszy, bywało,
 Tak mi się tkliwie na pierś pochyli
 I tak przepędzim z sobą noc całą.
 Ach! ona jedna tylko umiała
 Duszę mą w krótkiej rozjaśnić chwili.
 Często — na jeden uśmiech jej złoty,
 Na jedno słówko słodkiej pieszczoty,
 Niknęła troska z mojego czoła
 I w dal pierzchała myśl zwykle smętna.
 Ach, wczoraj jeszcze taka wesoła
 Zda się, a dzisiaj — tak obojętna!

GAŁDASZ.

I jam przechodził różne koleje.
 Dziś już niejednej pamięć boleści
 Wygaśa z wiekiem: stare to dzieje,
 Jednak... posłuchaj słów mej powieści.

Bez żdźbła siwizny

Wówczas był człowiek, rzeźki i młody,
 Żałując niemal, że nie był ptakiem,
 Aby móżdż lecieć, gdzie słońce płonie,
 Radby skosztować nawet trucizny,
 Pójść z samym djablem nawet w zawody!...
 Wówczas to w naszych krasawic gronie
 Ujrzałem jedną. Pełen podniety
 Widok jej dotąd wzrok mój niewolił,
 Dokąd mi wreszcie Bóg nie pozwolił
 Nazwać jej swoją.

Szybko, niestety!

Minęła życia mojego wiosna;

Lecz ta w niej szczęścia doba radosna
 Ach, stokroć szybciej! Rok tylko jeden
 Trwał ten na ziemi rajski mój Eden.
 Raz, pośród cichych w stepie kurhanów,
 W pobliżu wartkiej Kaługi brzegów,
 Spotkał nas tabor obcych cyganów.
 O! nie zapomnę tych trzech noclegów
 Spędzonych z nimi; bo kiedy trzeci
 Nadszedł i poszli od nas zdradziecko,
 Pospołu z nimi, rzuciwszy dziecko
 Znikła Marjuła. Wtem dzień zaświeci,
 Zrywam się ze snu, lecz już niestety!
 Ani jej śladu; szukam i wołam —
 Jak kamień w wodę! Czyliż ci zdołam
 Opisać płacz ów Zemfiry małej,
 Własne łzy moje, serca ból cały?...
 Odtąd mi zbrzydły wszystkie kobiety
 I choć-em ujrzał najbardziej ładną,
 Żadna nie mogła mnie rozweselić
 I nigdy, nigdy nie chciał podzielić
 Chwil samotności mojej już z żadną.

ALEKO.

I któż cię wówczas wstrzymał w pogoni
 W ślad za niewierną i za jej gachem,
 Że mając ostry kindżał w twej dłoni,
 Głównie ich nie zmiotłeś jednym zamachem?!...

GAŁDASZ.

Po co?... Kto kiedy młodość ukróci?
 Powstrzymać miłość w czyjejże sile?...

Każdy ma w życiu szczęśliwą chwilę
 I co minęło — już nie powróci!

ALEKO.

O, jam nie taki i tem się szczieję;
 Swych dobrowolnie praw się nie zrzeknę,
 A nie -- to chociaż zemstę nasycę
 I wrogów moich krwią choć ocieknę!
 Nie! gdybym nawet po nad otchłanią
 Morza, odnalazł śpiącego wroga,
 I tu — przysięgam — nigdyby noga
 Moja złoczyńcy nie oszczędziła,
 Lecz w przepaść morza — by go strąciła.
 Nagłą, ach! wówczas grozę zbudzenia
 Jaby mu śmiechem piekła obwieścił
 I długo potem, patrząc bez drżenia,
 Echem upadku jego — słuch pieścił!...

(p. c.)

Lecz gdzież Zemfira?... Stara Boraha
 Pewnie się zmienia w młodego gacha.
 Ale ja czuwam!... (d. s.) Nożu mój! ze mną!...
 (wybiega).

Scena III.

GAŁDASZ (sam, p. c., macha ręką).

Serce i potok ostrzegać daremno...
 Na szczęście, moje całkiem już nieczułe...

(p. c.)

Spoczne i we śnie... zobaczę... Marjułę...
 (kładzie się na spoczynek.)

OBRAZ II.

(Stepy, Kurhan z boku; noc.)

Scena IV.

ZEMFIRA i MŁODY CYGAN.

MŁODY CYGAN (*tuląc Zemfirę do piersi*).
Jedno, ostatnie pocałowanie!

ZEMFIRA (*z lekka oswobadzając się*).
Czas iść — Aleko zły i ponury.

MŁODY CYGAN.
No, jeszcze jedno — na pożegnanie!

ZEMFIRA.
Puść mnie... Już księżyc zaszedł za chmury...
Już czas!...

MŁODY CYGAN.
Chcesz odejść?

ZEMFIRA.
Czas już, mój miły!

MŁODY CYGAN.
Nie, nie. Zaczekaj jeszcze do rana!

ZEMFIRA.
Już późno.

MŁODY CYGAN.
Chwilkę.

ZEMFIRA.
Późno!

MŁODY CYGAN.

Kochana!

ZEMFIRA.

Zgubisz mnie!

MŁODY CYGAN.

Chwilkę!

ZEMFIRA.

Zważ tylko sobie...

MŁODY CYGAN.

Jeśli się zbudzi...

Scena V.

CIŻ i ALEKO.

ALEKO.

Jużem się zbudził.
Dokąd spieszycie? czym wam przeszkodził?
Stójcie! wam dobrze i tu, na grobie.

ZEMFIRA (*do młodego cygana*:)
Uchodź czempredzej, uchodź, nie zwlekaj!

ALEKO (*zastępując mu drogę*).
Zaczekaj!...

Nie spiesz się, bratku, masz niedaleko...
Leż, podły zdrajco!... (*zabija go*.)

MŁODY CYGAN (*padając*:)

Boże!...

ZEMFIRA.

Aleko!...

Ty go zabiłeś!... On we krwi cały!...
I cóżś zrobił?!...

ALEKO.

Nic. Teraz gruchaj
Choćby do rana, gołąbku biały.

ZEMFIRA.

Śmiesz szydzić jeszcze? Dość mam twej złości,
Nikczemny zbójco!...

ALEKO.

Milcz tu i słuchaj!...
Lub giń z nim razem!... (*uderza ją.*)

ZEMFIRA (*konając:*)

Ginę z miłości!...

ALEKO.

Ach! (*pada na kurhan.*)

OBRAZ III.

(To samo miejsce; poranek; głębią cyganie przenoszą na marach ciała Zemfiry i młodego cygana, za orszakiem postępuje zwolna Galdas, po przejściu pochodu wraca na scenę i podchodzi do Aleka, leżącego bezwładnie na kurhanie.)

Scena VI.

GAŁDASZ i ALEKO.

GAŁDASZ (*po długiej pauzie:*)

Słuchaj, Aleko! niech Bóg zachowa,
Bym tu miał wszczynać skargi niewczesne,
Czynić wyrzuty, lub próżne żale,
Albo rozjątrzać rany bolesne.
My praw nie znamy i nie pragniemy
Krwi ani jęków niczych; ale
Życ się z zabójcą nie odważymy.

Nie! tyś nie zrodzon do naszej doli:
Sam w wyuzdanej chcąc żyć swawoli,
Radbyś na drugich nałożyć pęta;
Pokój więc z tobą! Niech cię nie dziwi,
Żebyś nas odtąd przerażał trwogą,
My ludzie prości i bojaźliwi,
Tyś zły i dumny. Idź własną drogą.
I niech ci tego Bóg nie pamięta! (*wychodzi.*)
(*Pauza.*)

(*Flet.*)

Scena VII.

ALEKO (*sam.*)

(Po pauzie, budząc się z osłupienia, ogląda się za Galdasem, potem wstaje. Wschód słońca oświetla scenę. Ligawki grają pieśń poranną.)

Odszedł, a cały tabor koczowy
Rusza jak rzeka wzdętem korytem,
Zwolna malejąc w dali stepowej...
Aż wreszcie niknie... W polu odkrytem
Została tylko moja telega...
Tak w mgle jesiennej, kiedy się pławi
Łańcuch spóźnionych w drodze żurawi,
Nagle z nich jeden ani spostrzega,
Jak pozostając, krwią obroczoney
Od wędrownego opodał stada,
Ranny z obwisłym skrzydłem upada
I ginie w polu osamotniony!...

(*po chwili:*)

Sam, sam, zostałem, bez jednej duszy...
Słyszę jęk ofiar w stepowej głuszy...

Jak ja powlokę życie sieroce?...
Jak będę trawił bezsenne noce?...
O!... jak mnie więzi ten step szeroki!...

(po chwili, z postanowieniem :)

Pójdę, gdzie kurhan pokrył ich zwłoki,
Wybuchnąć płaczem, co nabrzmał w łonie
I wyczekiwać wieści o zgonie,
Jak wybawienia z ziemskich katuszy;
Taka pokuta i zmarłych wzruszy!...
(odchodzi powoli.)

Rekwizyta: Namiot z szarego płótna, 2 sienniki wypchane, kociołek wiszący, spirytus, wata, wózek mały z gałganami, tragi v. nosze, kindżał, flet (za sceną), ogień bengalski, drut magnezjowy, 2 dzwonki.

Z KRWAWYCH DNI

(1871 r.)

*Wiersz przez Władysława Sabowskiego. *)*

Patrz! to Paryż. Przekleństwo cisnęły nań losy,
Na ulicach wre walka szalona, zaciekle,
Z szeregami żołdactwa bije się tłum bosy,
Rozwścieklone kobiety z rozwianemi włosy
Biegają jak fury z pickła.

Wszędzie rzeź i pożoga, mord, krew, jęk i wycie,
Brat w piersi brata topi ostrze zbójczej stali,
Matki tym śmierć zadają, którym dały życie,
A wróg z boku się patrzy i śmieje się skrycie
Z tych „ludzi czy też szakali?”

*) Deklamowany na koncertach przez ś. p. Aleksandra Choddeckiego. Wiersz ten kwalifikuje się do wypowiedzenia li tylko przez mężczyznę, jako wymagający potęgi głosu i trzymany w nastroju niecierującym ze skalą głosu kobiecego. W deklamacji odcieniać należy trzy momenta akcyi: opisowy — głosem pełnym powagi i grozy; słowa oficera wojsk — tonem męża dowodzącego innymi i odpowiedź młodego komunisty — głosem młodzieńczym, ale pełnym stanowczości i dumnej buty. Bez akompaniamentu muzyki.

(K. H.)

Gmachy kilkowiekowe wałą się na skronie
Starców, którzy już kilka pokoleń przeżyli,
Przeszłość się zmieniła w pochodnię i płonie,
Krwawo-czerwoną łuną jaśniejąc przy zgonie
Tych, co jej pożar wzniecili.

Miejscami już zwycięstwo wojska nad ulicą
Ogłoszono zatknięciem prawowitych znaków,
Porządek zapanował nad całą dzielnicą,
Gdzieindziej jeszcze walka, jeszcze nawałnicą
Napływa krew na żołdaków.

Na przedmieściach legalna wzięła górę siła...
Ujętych z bronią w koło zgromadzono duże,
Oficer po jednym pod mur ich wysyła,
Jeniec staje... grzmią strzały i bezwładna bryła
Upada w krwawą kałużę.

Już wszyscy... sta ich były... odbyli swą kolej,
Jest tylko młode chłopię w podartej koszuli...
„Ktoś ty?” — spytał dowódca. — „Wzięty do niewoli!”
„Jesteś wolny... nie twojej lituję się doli,
Lecz żał mi prochu i kuli.”

„Nie chcę!” — krzyknęło chłopię, — „niech zginę jak inni,
Kiedym walczył jak oni i jak oni wzięty;
Jeślim winny, wiek młody mnie nie uniewinni,
A jeśli ci, co krew tu przelali — niewinni,
Czemuż ja mam być wyjęty?...”

„Jeżeli jaką łaskę uczynić mi chcecie,
Mam przy sobie zegarek i trochę pieniędzy,
Mam matkę, którą kocham nad wszystko na świecie,
Pozwólcie mi to odnieść tej biednej kobiecie,
A potem wrócić coprędzej.”

Poszedł. Krwawi oprawcy zostali pod ścianą.
Dowódca pod wąsami *pomruczał*: (a) „Nie wróci...
Gdyby jednakże wrócił rzeczywiście... a no...
To byłby znak najlepszy, że go wychowano
Nie dla nas... dla rewolucyi...”

Wrócił... stanął pod ścianą i dumnym spojrzeniem
Wyzwał oprawców swoich do krwawej roboty,
Oficer krzyknął: „Strzelać” *z pewnem w głosie drżeniem*, (b)
Żołnierze niewolniczo za jego skinieniem
Podnieśli w górę szaspoty.

Śmierć spojrzała na dziecko wzrokiem łuf dwunastu,
I ołowiem nań z tyłuż plunęła gardzieli. (c)
Upadł... żołnierze poszli... rząd ogłosił miastu,
Że już buntowniczego nie ma więcej chwastu,
Że nie ma już wichrzycieli.

Nie ma ich — czas zagoi wkrótce ranę świeżą,
A za lat kilkanaście znajdziemy sensatów,
Co z trójnoga swej wiedzy rzekną, iż nie wierzą,
Że Francya takich dzieci mogła być macierzą
I matką tak nędznych katów. (d)

(a) Wyraz ten określa sposób mówienia następnych słów.

(b) Jak wyżej.

(c) Oba wiersze wygłosić należy z ponurym smutkiem, odpowiadającym majestatowi śmierci.

(d) Pomimo pomieszczonej u góry przesłanki, iż sensaci *nie* uwierzą opowiedzianym tu faktom, wiersz przedostatni wypada wygłosić z pewnem uwielbieniem, a ostatni nacechować — pogardą dla „nędznych katów”
(K. II.)

LISTA PROTEKTORÓW

wydawnictwa p. t.: „Bukiet dramatyczny“.

W. W.	<i>Bartkowski Adam</i>	Klimontów.
" "	<i>Beckerman</i>	Radom.
" "	<i>Błażewicz</i>	Szydłowiec.
" "	<i>Brandt</i>	Radom.
" "	<i>Chromecki Wacław</i>	Radom.
" "	<i>Ciszeński</i>	Radom.
" "	<i>Czarnecka</i>	Radom.
" "	<i>Dulęba Józef</i>	Radom.
" "	<i>Frick</i>	Radom.
" "	<i>Ks. Garlikowski</i>	Jastrząb.
" "	<i>Goldstein Maurycy</i>	Radom.
" "	<i>Grzybowski Michał</i>	Radom.
" "	<i>Haertel Aleksander</i>	Radom.
" "	<i>Helbich Józef</i>	Radom.
" "	<i>Hempel Józef</i>	Radom.
" "	<i>Hoffman Antonina, Art. dram.</i>	Kraków.
" "	<i>Holenderski Lucjan</i>	Radom.
" "	<i>Iłjaszewicz</i>	Radom.
" "	<i>Jarzyński Adam</i>	Radom.
" "	<i>Jasiński Antoni</i>	Radom.

W. W.	<i>Karsch Ludwik</i>	Radom.	
" "	<i>Karsch Teodor</i>	Radom.	
" "	<i>Konczak Robert</i>	Radom.	
" "	<i>Koreywo Zofia</i>	} właśc. księgarni	Łęczyca.
" "	<i>Kowalska Fel.</i>		
" "	<i>Krzywicka Emilja</i>	Piotrków.	
" "	<i>Krzywicka Felicja</i>	Piotrków.	
" "	<i>Lande Henryk</i>	Radom.	
" "	<i>Luboński Konstanty</i>	Radom.	
" "	<i>Maciejowski Stanisław</i>	Radom.	
" "	<i>Morawski Jan</i>	Baku.	
" "	<i>Myszkowska Eleonora</i>	Radom.	
" "	<i>Napiórkowski Roman</i>	Radom.	
" "	<i>Paluchowski Antoni</i>	Radom.	
" "	<i>Pałka Stanisław</i>	Radom.	
" "	<i>Paprocki Teodor, księgarz i wydawca</i>	Warszawa.	
" "	<i>Pawlikowski Edmund</i>	Radom.	
" "	<i>Piłatowski Witalis</i>	Radom.	
" "	<i>Przemyski August</i>	Radom.	
" "	<i>Rakowski Stanisław</i>	Radom.	
" "	<i>Reklewski Antoni</i>	Radom.	
" "	<i>Rewoliński Władysław</i>	Radom.	
" "	<i>Rogosiński Marceł</i>	Radom.	
" "	<i>Rusiecki</i>	Jędrzejów.	
" "	<i>Solski (vel Sosnowski) L., art. dram.</i>	Kraków.	
" "	<i>Sołtykiewicz Jan</i>	Radom.	
" "	<i>Stankowski Aleksander</i>	Radom.	
" "	<i>Szpak Józef</i>	Radom.	
" "	<i>Trautsołt Edward</i>	} wł. księgarni	Suwałki.
" "	<i>Trautsołt Stanisława</i>		

W. W. Turolski Stanisław	Radom.
Wójcicki Hipolit, art. dram.	Kraków.
Wojdacki	Kozienice.
Woźnicki Bolesław	Radom.
Wróblewski Henryk Hugo	Radom.
Zemba Józef Stefan	Dąbrowa górnicza.



MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Główna Radomiu Reg.

737

P. 32549

1979

P. 28095

8252

SPIS RZECZY.

	str.
1) Przedmowa p. K. H.	5
2) „O własnej sile“, fragment z komedyi, p. A. Święcickiego . . .	7
3) „Cylinder“, monolog humorystyczny z francuskiego . . .	19
4) „Słówko o deklamacyi“, p. K. Hoffmana	28
5) „Niezgrabny“, wiersz Karola Hoffmana	33
6) „Wicek przyaresztowany“, obrazek humorystyczny przez Ex-Bociana	38
7) „Biała szata“, wiersz Władysława Sabowskiego	48
8) „Benefisant na głębokiej prowincyi“, monolog humory- styczny przez Osę Wędrówną	51
9) „Chłopca mego mi zabrali!“ wiersz p. El-y	62
10) „Śmierć Stańczyka“, monodram p. J. K. Turskiego . . .	64
11) „Dla czegoś się nie ożenił?“ monolog humorystyczny przez Sta — wera	77
12) „Aktor“, wiersz Karola Hoffmana	88
13) „Z rozmowy“, dyalog wierszem przez Stan. Grudzińskiego .	90
14) „Borys Godunow“, obraz z dramatu Al. Puszkina, w prze- kładzie Mirosława Dobrzańskiego i K. Hoffmana	95
15) „Amarus“, wiersz Jarosława Vichlickiego, w przekładzie Bro- nisława Grabowskiego	101
16) „Raki“, monolog humorystyczny z Jakuba Normand, w tło- maczeniu Hajoty	104
17) „Po jarmarku“, monodram ludowy p. Bron. Sycińskiego .	108
18) „Czarodziejska lutnia“, wiersz Teodozjusza Krzywickiego .	113
19) „Cyganie“, fragment dramatyczny w 3-ch obrazach z poe- matu Aleks. Puszkina, w przekładzie Mir. Dobrzańskiego .	117
20) „Z krwawych dni“ (1871), wiersz Władysława Sabowskiego	120
— Lista protektorów wydawnictwa	132

Adress wydawcy — autora dzieła :

RADOM, REDAKCJA „DZIENNIKA URZĘDOWEGO“

Karol Hoffman.





